

The background of the cover features a wooden cabin with a weathered roof and a chimney, situated in a field of vibrant orange flowers. In the distance, a dark, stormy sky is lit by a bright, jagged lightning bolt striking the ground. The overall mood is one of tension and drama.

**ANDREA MARIA  
SCHENKEL**

**dom  
na pustkowiu**

Trzeci rok z rzędu na liście bestsellerów Spiegla.  
Prawie milion sprzedanych egzemplarzy!!



# ANDREA MARIA

## SCHENKEL

dom

na pustkowiu

Z języka niemieckiego przełożyła

Urszula Pawlik

Tytuł oryginału: TANNÖD

Pierwsze lato po wojnie spędziłam u dalekich krewnych na wsi.

W owych tygodniach wioska jawiła mi się jako beztroska, pogodna wyspa. Była ostatnią oazą spokoju, która jakimś cudem uchowała się pośród wielkiej zawieruchy, jaką dopiero co przeżyliśmy.

Po latach, gdy życie znowu wróciło do normy i kiedy tamte szczęśliwe wakacje były już jedynie pięknym wspomnieniem, przeczytałam w gazecie o owej spokojnej wsi.

Cichy przysiółek stał się teraz „skąpaną we krwi wsią”. Fakt ten nie dawał mi spokoju.

Pełna mieszanych uczuć pojechałam na miejsce moich pierwszych letnich wakacji.

Ci, których tam spotkałam, chcieli mi opowiedzieć o popełnionej zbrodni. Chcieli porozmawiać z kimś obcym, a zarazem zaufanym. Z kimś, kto wśród nich nie pozostanie. Z

kimś, kto przyjdzie, posłucha ich historii i odejdzie.

Panie, zmiłuj się nad nami!

Chryste, zmiłuj się nad nami!

Panie, zmiłuj się nad nami!

Chryste, usłysz nas!

Chryste, wysłuchaj nas!

Ojcze z nieba, Boże, zmiłuj się nad nimi!

Synu Boży, Odkupicielu świata, Boże, zmiłuj się

nad nimi!

Duchu Święty, Boże, zmiłuj się nad nimi!

Święta Trójco, jedyny Boże, zmiłuj się nad nimi!

Święta Mario, módl się za nimi!

Święta Boża Rodzicielko, módl się za nimi!

Święta Panno nad pannami, módl się za nimi!

Święty Michale,  
módl się za nimi!

Wszyscy święci Aniołowie i Archaniołowie,  
módlcie się za nimi!

Wszyscy święci niebiescy Duchowie,  
módlcie się za nimi!

Święty Janie Chrzcicielu,  
módl się za nimi!

Święty Józefie,  
módl się za nimi!

Wszyscy święci Patriarchowie i Prorocy,

Święty Piotrze,

Święty Pawle,

Święty Janie,

módlcie się za nimi!

Wszyscy święci Apostołowie i Ewangelisci, Święty Szczepanie, Święty Wawrzyńcze,  
módlcie się za nimi!

Wszyscy święci Męczennicy,

Święty Grzegorzu,

Święty Ambroży,

módlcie się za nimi!

Wszyscy święci Biskupi i Wyznawcy,

Wszyscy święci Doktorowie,

Wszyscy święci Kapłani i Lewicy,

Wszyscy święci Zakonnicy i Pustelnicy,

módlcie się za nimi!

Wczesnym rankiem, jeszcze przed świtem, wchodzi do izby. Drewnem, które przytaszczył z dworu, pali w wielkim kuchennym piecu. Wrzuca kartofle do parownika i zalewa wodą.

Stawia pełny gar na kuchennej płycie.

Wychodzi z kuchni na długi, pozbawiony okien korytarz, łączący dom z oborą. Krowy trzeba dwa razy dziennie karmić i doić. Stoją sobie w jednym rzędzie. Jedna obok drugiej.

Przemawia do nich stłumionym głosem. Mówienie do zwierząt podczas pracy w oborze weszło mu w zwyczaj. Brzmienie jego głosu zdaje się działać uspokajająco na bydło.

Jednostajne, monotonicznie wypowiedziane słowa zdają się mieć kojące działanie. Pod wpływem spokojnych, śpiewnych tonów spada napięcie. Zna tę pracę. Wykonuje ją przecież niemal całe życie. Sprawia mu przyjemność.

Podsypuje świeżą słomę na starą podściółkę. Słomę przynosi z przyległej stodoły. Jej przyjemna, znajoma woń roznosi się po całej oborze. Zapach krów jest inny niż świń. Nie ma w sobie niczego nachalnego, niczego ostrego.

Potem przynosi siano. Taszczy je ze stodoły.

Drzwi łączące oborę ze stodołą pozostawia otwarte.

Gdy zwierzęta jedzą, doi je. Trochę go to niepokoi. Nie przywykły przecież, żeby to on je doił. Jednakże jego obawy, że któraś z krów nie dopuści go do siebie, okazują się zupełnie niepotrzebne.

Zapach gotujących się kartofli czuć aż w oborze. Czas nakarmić świnie. Wysypuje ziemniaki z parownika prosto do wiadra, w którym zostaną utłuczone, zanim zanieśie je do chlewa.

Swinie kwiczą, gdy otwiera ich kojec. Wysypuje zawartość wiadra do koryta. Dolewa trochę wody.

Zrobił, co do niego należy. Nim opuści dom, sprawdza, czy wygasł ogień w piecu.

Drzwi między stodołą a oborą pozostawia otwarte. Zawartość konwi na mleko wylewa na gnojowisko. Odstawia konwie na swoje miejsce.

Wieczorem znowu pójdzie do obory. Nakarmi psa, który gdy tylko go widzi, zamiast machać ogonem, wciska się w kąt. Oporządzi zwierzęta. Będzie przy tym uważał, żeby omijać łukiem kupę słomy w lewym kącie stajni.

Elżunia, lat 8

Siedzimy z Marianną w szkole kolo siebie. Jest moją najlepszą przyjaciółką. Dlatego siedzimy w jednej ławce.

Marianna bardzo lubi makaroniki mojej mamy. Jak mama je piecze, zawsze przynoszę trochę Mariannie. Albo do szkoły, albo w niedzielę do kościoła. W ostatnią niedzielę też je przyniosłam, ale musiałam sama wszystkie zjeść, bo Marianny nie było w kościele.

Co zwykle robimy? To co wszyscy. Bawimy się w policjantów i złodziei, w berka, w chowanego. A w lecie, w naszym ogrodzie, też i w sklep. Czasami. Budujemy sobie pod płotem warzywniaka mały stragan. Mama zawsze daje nam koc, na którym możemy rozłożyć nasze rzeczy: jabłka, orzechy, kwiatki, kolorowy papier i wszystko inne. Co tylko znajdziemy.

Raz miałyśmy nawet gumę do żucia, którą dostałam od cioci. Pyszna cynamonową.

Ciocia pracuje u Amerykanów i od czasu do czasu przynosi gumę, czekoladę i masło orzechowe. Albo chleb w takich śmiesznych zielonych puszkach. A raz, w zeszłym roku w lecie, to nawet przyniosła lody.

Mamie się to nie podoba, bo narzeczony cioci Eli jest z Ameryki i jest cały czarny.

Marianna zawsze mówi, że jej tato też jest w Ameryce i że z pewnością niedługo przyjedzie, żeby ją tam zabrać. Ale ja w to nie wierzę. Marianna czasami trochę buja. Mama mówi, że nie wolno kłamać, i jak Marianna znowu zaczyna opowiadać te swoje bujdy, to się kłócimy. Wtedy zwykle zabieramy rzeczy ze sklepu. Każda swoje. Nie bawimy się dalej i Marianna leci do domu. Ale po paru dniach się godzimy i wtedy znów jest dobrze.

Na Gwiazdkę dostałam lalkę pod choinkę. Marianna mi zazdrościła. Ona ma tylko jedną lalkę. Starą, drewnianą. Taką, która była kiedyś jej mamy. Wtedy Marianna znowu zaczęła opowiadać tę swoją bujdę, że jej tata niedługo przyjedzie z Ameryki i że ją tam zabierze. Powiedziałam wtedy, że jak tak dalej będzie kłamać, to przestanę być jej przyjaciółką. Od tego czasu już nic więcej nie mówiła o Ameryce.

W zimie chodzimy czasami na sanki. Na łąkę za naszym domem. Tam jest taka fajna górka. Wszyscy z całej wsi zawsze przychodzą tam na sanki. Jak się dobrze nie zahamuje, to wpada się w krzaki. Jak

poznają w domu, gdzie byliśmy, to przeważnie jest awantura.

Marianna musiała czasami zabierać swojego małego brata i się nim opiekować. Zawsze trzymał się jej spódnicy. Ja nie mam żadnego młodszego brata. Tylko starszą siostrę. Ale to też nie zawsze jest fajne. Siostra często mnie denerwuje.

Jak jej młodszy brat przewracał się na śnieg, zaraz zaczynał płakać. A potem zwykle się posikał i Marianna musiała szybko lecieć do domu. Zawsze strasznie na nią wrzeszczeli, że znowu go nie pilnowała i że przez to znowu narobił w gacie. Następnego dnia w szkole była bardzo smutna i opowiadała mi, że chciałyby uciec z domu, bo dziadek jest strasznie wściekły i mama też.

Kilka dni temu opowiadała mi, że znowu przyszedł jej czarodziej. Zobaczyła go w lesie. Mówiła, że czarodziej z pewnością zabierze ją do taty. Tak, czarodziej. Tak powiedziała. O czarodzieju opowiedziała mi już jesienią. Zaraz na początku roku szkolnego.

Ale jej nie uwierzyłam. Nie ma przecież żadnych czarodziei, a szczególnie takich, co wyczarowują tatusiów, co są w Ameryce. Wtedy znowu żeśmy się pokłóciły i Marianna się rozplakała. Powiedziała, że czarodziej istnieje i że w swoim plecaku nosi kolorowe buteleczki i inne kolorowe rzeczy. I że czasami siada sobie tak po prostu i coś nuci. To przecież musi być czarodziej. Mówiła, że wygląda zupełnie jak na obrazku w elementarzu. Wtedy krzyknęłam: „Kłamczucha, kłamczucha!”. A ona się rozplakała i uciekła. A że nie była w sobotę w szkole i nie zjadła makaroników mojej mamy, więc przyniosłam jej trochę w niedzielę do kościoła. Ale w kościele też jej nie było. Nie było nikogo z jej rodziny, więc mama myślała, że może pojechali w odwiedziny do krewnych. No tam do Eihnausen, gdzie mieszka brat jej dziadka. A te makaroniki to musiałam zjeść sama.

Marianna leży w łóżku. Nie może zasnąć. Słucha zawodzenia wiatru hulającego po obejściu zupełnie jak „szaleni myśliwi”. Babcia często w długie, mroźne zimowe wieczory pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem opowiadała historie o „szalonych myśliwych” i o

„czartach”.

– „Szaleni myśliwi” gnają jak błyskawice. Jak chmury pędzone wiatrem podczas burzy, albo jeszcze szybciej. Dosiadają koni czarnych jak diabły – snuła babcia swą opowieść. – Odziani są w czarne płaszcze. Twarze zakrywają kapturami. Ich czerwone oczy świecą w ciemności jak rozżarzone węgle. Pędzą przed siebie bez opamiętania. Biada temu, kto stanie im na drodze. Gdy ktoś nierozważnie błąka się w taką noc po świecie, tego „szaleni myśliwi” porywają – mówiła babcia. – Łapią go w galopie i uprowadzają gdzieś w nieznane!

Robiła przy tym taki ruch, jakby sama chciała coś złapać i dokąś zawlec.

– Cap! I unoszą nieszczęśnika w powietrze, odjeżdżając w nieznane. Pędzą z nim w górę ku chmurom, aż po samo niebo. Biedaczysko musi ścigać się z szalejącym wiatrem.

„Szaleni myśliwi” trzymają go mocno, wyjąc i śmiejąc się do rozpuku. Ha, ha, ha – babcia grubym głosem naśladowała ich śmiech.

Marianna mogła sobie łatwo wyobrazić, jak „szaleni myśliwi” łapią swą ofiarę i unoszą w górę, śmiejąc się przy tym szyderczo.

– Babciu, a co się dzieje potem? – pytała w takich razach. – Czy porwany już nigdy nie wraca na ziemię?

– Wraca, wraca – odpowiadała babcia. – Czasami wraca, a czasami zostaje gdzieś tam w górze. „Szaleni myśliwi” wloką nieszczęśnika z sobą tak długo, dopóki im się nie znudzi.

Czasami puszczają go wolno, gdy już dość się z nim nafiłowali. Tak, czasami. Ale przeważnie znajduje się nieboraka następnego dnia gdzieś w polu z połamanymi kośćmi. Całe ciało jest pobite i posiniaczone. Czasami uprowadzeni przepadają na zawsze. Tych „szaleni myśliwi” powlekli do samego diabła.

Cały czas myśli tylko o „szalonych myśliwych”. Przenigdy nie wyszłaby z domu w taki czas.

Nie wolno przecież dać się pojmać „szalonym myśliwym”. Nigdy jej nie złapią! Nigdy!

Sen nadal nie przychodzi. Nie wie, jak długo już tak leży. Jej mały brat śpi w tym samym pokoju. Połania stoją tak blisko siebie, że ich głowy niemal się dotykają. Ona leży w swoim łóżku, on zaś w małym dzieciennym łóżeczku.

Słyszy jego spokojny, równomierny oddech. Leżą tak blisko. Tuż obok siebie. Mały wdycha i wydycha powietrze. Czasami, gdy nie może w nocy spać, wsłuchuje się w ten szmer. Próbuje dopasować swój oddech do jego. Wciąga powietrze, gdy on je wciąga, i wypuszcza, gdy on je wypuszcza.

Czasem to pomaga. Wtedy zmęczona zasypia. Ale dziś się nie udaje. Dziś sen nie chce przyjść.

Czy powinna wstać i wyjść z łóżka? Dziadek z pewnością się wścieknie i na nią nawrzeszczy. Nie lubi, gdy wstaje w nocy i woła matkę lub babcię.

– Jesteś na tyle duża, że możesz spać sama – mówi i odsyłają z powrotem do łóżka.

Przez szparę w drzwiach widać migoczący promyk światła. Słaby, ale wyraźnie odcinający się, jasny wąski pasek.

A zatem ktoś jeszcze nie śpi. Może mama? Albo babcia?

Marianna zbiera się na odwagę i wysuwa gołe stopy spod przykrycia. W pokoju jest zimno. Odsuwa kołdrę. Bardzo wolniutko, tak by nie obudzić małego braciszka, stąpa na koniuszkach palców do drzwi. Ostrożnie, by nie zaskrzypiała któraś z desek.

Powoli naciska klamkę i cichuteńko otwiera drzwi. Skrada się przez korytarz do kuchni. W kuchni jeszcze pali się światło. Siada przy oknie i spogląda w noc. Robi jej się jakoś nieswojo. Zaczyna marznąć w cienkiej nocnej koszuli.



Zauważa, że drzwi do sąsiedniego pomieszczenia są lekko uchylone.

Mama pewnie poszła jeszcze do obory, przechodzi jej przez myśl. Marianna otwiera drzwi na oścież. Stąd wychodzi się na korytarz zakończony drzwiami, prowadzący do obory i stodoły.

Woła mamę. Potem babcię. Ale nikt się nie odzywa.

Dziewczynka podąża ciemnym wąskim przejściem. Staje, waha się przez moment, po czym idzie dalej. Ponownie woła mamę i babcię. Tym razem nieco głośniej. Znowu odpowiada jej milczenie.

W oborze widzi zwierzęta przywiązane łańcuchami do żłobów. Tułowia krów poruszają się spokojnie. Pomieszczenie oświetla lampa naftowa.

Na końcu przejścia drzwi do stodoły stoją otworem.

Mama będzie z pewnością w stodole. Woła raz jeszcze matkę. Znowu żadnej odpowiedzi.

Marianna rusza w kierunku stodoły. Zatrzymuje się w drzwiach niezdecydowana. Z ciemności nie dochodzi żaden dźwięk. Bierze głęboki oddech i wchodzi do środka.

Święta Mario Magdaleno,

módl się za nimi!

Święta Katarzyno,

módl się za nimi!

Święta Barbaro,

módl się za nimi!

Wszystkie święte Panny i Wdowy,

módlcie się za nimi!

Wszyscy Święci i Święty Boże,

módlcie się za nimi!

Bądź im miłościwi – Odpuść im winy, Panie!

Bądź im miłościw! – Wybaw ich, Panie!

Babette Kirchmeier, wdowa po urzędniku, lat 86

Maria, Maria.

Pracowała u mnie jako pomoc domowa, dopóki nie poszłam do domu starców.

Tak, służąca Maria. To porządna dziewczyna. Zawsze robiła wszystko starannie. Nie tak jak te młode kozy, które tylko patrzą, by się wyrwać gdzieś z chłopakami. Nie, Maria była inna. Była dobrą, porządną dziewczyną.

Nie była specjalnie ładna. Ale za to porządna i pracowita. Cały dom trzymała w garści.

Wie pani, nie potrafię już chodzić jak dawniej. Dlatego poszłam do domu starców.

Nie mam dzieci, a mąż nie żyje już prawie od piętnastu lat.

Ottmar był dobrym mężem. To był dobry człowiek.

Maria przyszła do mnie, gdyż nogi nie chciały mnie już nosić jak kiedyś. Tak, te moje nogi. Już od dawna mam z nimi kłopoty. Kiedy człowiek się starzeje, cały niedołąźnieje, nie tylko nogi. Niedobrze jest być starym. Moja matka wciąż to powtarzała. Niech mi pani wierzy, że starość nie jest łatwa.

Wcześniej biegałam jak fryga. Zawsze chodziliśmy z moim Ottmarem, Panie, świeć nad jego duszą, na tańce. W niedzielne popołudnia na podwieczorki taneczne do Odeonu. To było jeszcze przed wojną. Ottmar był dobrym tancerzem. Poznaliśmy się na tańcach jeszcze za panowania cesarza. Był chwackim kawalerem. Ten mój Ottmar w swoim mundurze. Był

wtedy w wojsku. A teraz już prawie od piętnastu lat nie żyje.

Czas leci. Wszystko przemija. Zaczęły mnie boleć biodra. Z każdym dniem stajemy się coraz starsi, nie młodsi.

Wtedy właśnie przyszła do mnie Maria. Spała w służbówce. Tak, Maria. Nie miała żadnych specjalnych wymagań. Łóżko, stół, krzesło, szafa na ubrania. Więcej nie potrzebowała.

W styczniu... niech no tylko pomyślę... tak, to było w styczniu, poszłam do domu starców, bo z chodzeniem bardzo mi się pogorszyło. Wtedy Maria zamieszkała u siostry.

Nie wiedziałam, że znowu pracuje jako służąca. Ale to do Marii podobne. To jej wystarcza. Nie jest za bardzo rozmowna. To mi pasowało, gdyż nie lubię gadatliwych ludzi.

Nic tylko trajkoczą i trajkoczą przez cały dzień, a dom i obejście marnieją.

Tak, tak, Maria pracowała u mnie jako pomoc domowa. Do czasu aż poszłam do domu starców. Do domu starców poszłam w styczniu. Dobra, porządna pomoc domowa. Bardzo pracowita. Zawsze wszystko robiła dokładnie.

Ależ się zmęczyłam. Teraz chciałabym się już położyć. Wie pani, w moim wieku potrzeba dużo snu. Wielu ludzi nie może spać. Ale ja potrzebuję dużo snu. Zawsze chętnie sypiałam. Lubiłam długo spać.

Ach, o co to mnie pani pytała? Zupełnie zapomniałam. Wie pani, w moim wieku szybko się zapomina. A tak, pytała pani o Marię. Była bardzo porządna, pracowita i pilna.

Co tam u niej?

Czy mieszka może u siostry?

Och, ależ jestem zmęczona. Chciałabym pójść spać. Wie pani, jak się jest w moim wieku, to potrzeba dużo snu.

W tym roku zima jakoś nie chce ustąpić miejsca wiosnie. Jest dużo zimniej niż zazwyczaj o tej porze. Od początku marca pada na zmianę to deszcz, to znowu śnieg. W powietrzu przez cały dzień unoszą się szare mgły.

W piątkowy ranek wreszcie się nieco przejaśniło. Ciemne ołowiane chmury trochę się przerzedziły. Od czasu do czasu wyrzy nawet słońce. Jego wiosennym promieniom jakoś udaje się przedrzeć przez te chmurzyska.

Jednak w południe niebo ponownie się zaniósło i po południu znowu zaczęło padać.

Tak pociemniało, iż ma się wrażenie, że to już zmierzch i zaraz nastanie noc.

W mroku podążają dokądś dwie odziane czarno postacie. Zmierzają prosto na podwórko. Jedna z nich pcha rower. Druga dźwiga na ramionach plecak. Gospodarz, który właśnie wyszedł z domu, by pójść do obory, na wszelki wypadek spuszcza psa z łańcucha.

Dopiero gdy postacie już niemalże wchodzą na podwórze, rozpoznaje w nich dwie kobiety.

Gwiżdże na psa. Łapie go za obrozę.

Jedna z kobiet, ta niosąca plecak, pyta o drogę. Szukają gospodarstwa Dannerów.

Poblądziły w tym mroku. Czy może im pomóc? Czy wie, jak mają iść dalej, którą drogą? –

Tam za ostatnim polem trzeba skrócić w lewo do lasu. Nie sposób zabłądzić – odpowiada.

Kobiety udają się we wskazanym kierunku. Chłop ponownie przywiązuje psa, nie myśląc więcej o nieznanym.

Gertruda Krieger, siostra Marii, pomocy domowej, lat 36

W piątek rano spakowałam cały dobytek Marii. Nie było tego dużo. Jeden plecak, do tego torba. Nic więcej. Naprawdę nie było tego wiele.

Obiecałam, że odprowadzę ją na nowe miejsce. Sama nie chciała iść, gdyż nie знаła drogi. Obiecałam jej.

Obiecałam...

Rano pogoda była jeszcze dobra. Ale nim żeśmy się wreszcie zebrały, dochodziło południe. Teraz pogoda już się trochę popsowała. Przyszła do mnie teściowa, by przypilnować dzieci.

Erwin, mój mąż, był jeszcze w pracy. Musi być bardzo wcześnie na budowie. Jest murarzem. W piątki zwykle wraca późno do domu. Nie, nie dlatego że musi tak długo pracować. W piątki dostaje wypłatę i wtedy idzie po robocie do gospody.

Zwykle przychodzi późno. Pijany. Tacy już oni są, ci mężczyźni. Piją w gospodzie i zapominają o wszystkim. O żonie, o dzieciach, po prostu o wszystkim.

Jak wychodziłyśmy z Marią, jeszcze nie padało. Wtedy pogoda była jeszcze całkiem znośna. Co prawda, pokazały się na niebie ciemne chmury, ale nie było wcale tak źle. W

ostatnich tygodniach albo lało, albo padał śnieg.

Niosłam plecak, a Maria przywiązała torbę do bagażnika roweru. Od czasu do czasu pomagałam jej pchać rower pożyczony od sąsiadki, Millerki. Podobnie jak plecak. Na naszym rowerze Erwin jeździ do pracy, a mnie się nie chciało wracać na piechotę. Myślałam, że na rowerze prędzej obrócę do domu.

Drogę do Dannerów dokładnie objaśniła mi Verdingerowa, sklepikarka. Ona też mi powiedziała, że szukają kogoś do pracy.

– Twoja siostra, Maria, jest przecież silna. I nie należy do tych, co się wylegują. Jest taka robotna. A Dannerom uciekła właśnie dziewczyna. Teraz szukają nowej. To byłoby coś dla twojej siostry, Marii – powiedziała.

Sklepiarka zawsze wszystko wie. Przychodzą do niej ludzie z całej okolicy i opowiadają, komu potrzeba służącej, a komu parobka. Albo przynoszą jej wszystkie nowinki, kto umarł, komu się urodziło dziecko. Nawet jak się szuka kogoś do ożenku, idzie się do sklepiarki. A ona już wynajdzie właściwe osoby. Jej mąż robi za swata, przygotowuje grunt do ślubu.

Maria była u nas od stycznia. W naszym małym mieszkaniu. Nie miała żadnych wymagań.

Zresztą, jakie można mieć u nas wymagania.

Mieszkanie ma dwa pokoje. Jeden zajmują dzieci, drugi my. Do tego jeszcze kuchnia i własna ubikacja. Nie żadna taka na półpiętrze, do której trzeba wystawać w kolejce i czekać, aż inni się załatwią.

Dla Erwina, naszej trójki dzieci i dla mnie mieszkanie jest wystarczające. Ale z Marią zrobiło się nam bardzo ciasno.

Maria spała w kuchni na kanapie. Ale na dłuższą metę tak się nie dało. Nie, naprawdę się nie dało. To było tylko tymczasowo. Dlatego tak się cieszyłam z tej pracy.

W międzyczasie Maria mieszkała przez trzy tygodnie u brata. To było w lutym. Brat ma małe gospodarstwo, taką zagrodę. Odziedziczył ją po rodzicach. Bratu zachorowała żona i wtedy Maria im pomagała. Wie pani, Maria to taka dobra dusza. Naprawdę dobra dusza. Była silna i robotna, ale też bardzo prosta.

Myszę, że była trochę ograniczona. Nie, nie to, żeby jakaś niedorozwinięta. Nie, nie.

Może raczej naiwna i bardzo prostoduszna.

Jak tylko szwagierce trochę się polepszyło, Maria znowu wróciła do nas. Z bratem jakoś jej się nie układało. Zawsze miał coś do niej. Nigdy nie mogła mu dogodzić. Przez całe życie był marudny i już się pewnie nie zmieni.

Jestem młodsza od Marii. O osiem lat. Ale Maria była dla mnie zawsze małą siostrzyczką, na którą musiałam uważać. Po śmierci matki przejęłam jej obowiązki i matkowałam Marii. Ojciec też już dawno umarł. Na suchoty, jak powiedział lekarz.

Jeśli ktoś się połapał, mógł wykorzystać Marię, jak tylko chciał. Robiła zawsze wszystko, co jej kazano. Nasza matka stale powtarzała: „Dobroć jest częścią łajdactwa”.

W Marii nie było żadnego tam łajdactwa. Ale była za dobra. Mogłaby pracować za darmo. Tak po prostu tylko za pajdę chleba i dach nad głową. Taka już była. Biedna niezguła.

Do sylwestra Maria pracowała u Kirchmeierowej. Kirchmeierowa była wdową, a Maria prowadziła jej dom najlepiej jak umiała. Ale z Kirchmeierową ostatnimi czasy było coraz gorzej. W końcu nie mogła już wcale chodzić i coś jej się pomieszało w głowie.

Dlatego poszła do domu starców. Nie miała przecież żadnych dzieci, które by ją mogły wziąć do siebie. I dlatego Maria straciła to miejsce u Kirchmeierowej.

Jak już wspominałam, obiecałam Marii, że ją odprowadzę do Dannerów.

Z tego co mówiła Verdingerowa, ta sklepikarka, potrzebowałyśmy półtorej godziny, by tam dojść. A pogoda była coraz gorsza.

Zrobiło się naprawdę ciemno i okropnie hulał wiatr. Pogoda była taka, jakby zaraz miał przyjść koniec świata. Przynajmniej tak zawsze wyobrażałam sobie koniec świata. Jakiś czas błądziłyśmy. Następnie wróciłyśmy się kawałek. Aż do ostatniego gospodarstwa, które minęłyśmy po drodze.

Tam zapytałyśmy, jak dojść do Dannerów.

Za ostatnim polem w lewo, cały czas prosto przez las, jak prowadzi droga. Nie można się zgubić. Taka była odpowiedź.

W lesie do tego wszystkiego zaczęło jeszcze padać. Przemoczone do suchej nitki dotarłyśmy wreszcie do zagrody na pustkowiu. Nigdy nie sądziłam, że to aż takie odludzie. W

przeciwnym razie nigdy bym tam Marii nie puściła. Nie. W domu, w Tannöd, była tylko starucha, która otworzyła nam drzwi. Poza nią nie widziałam nikogo. Tylko tę staruchę i małe dziecko.

Ładny chłopczyk. Myślę, że gdzieś dwuletni, ze ślicznymi jasnymi loczkami.

Zauważyłam, że dziecko od razu się Marii spodobało. Maria lubi dzieci. Tylko stara była jakaś dziwna. Patrzyła na nas podejrzliwie. Nawet się z nami nie przywitała. Mokra kurtka powiesiliśmy na krześle. W pobliżu pieca, żeby trochę przeschła. Stara Dannerka przez cały czas nie powiedziała ani słowa. Próbowałam nawiązać z nią jakąś rozmowę.

Przecież gdy przychodzi do domu ktoś obcy, to zadaje mu się jakieś pytania. A ta nic. Z nią nie dało się porozmawiać. Tylko ten maluch. Już po pięciu minutach uczeplił się spódnicy Marii i zaczął się śmiać.

A Maria razem z nim.

Kuchnia była dokładnie taka jak całe to gospodarstwo. Ponura i stara. Do tego jeszcze trochę zapuszczona. Gospodyni miała na sobie fartuch, który aż się prosił, żeby go wyprać. A buzia malucha była brudna.

Przez godzinę, którą przesiedziałyśmy z siostrą przy piecu kaflowym, Dannerka wypowiedziała wszystkiego może z pięć zdań. Mrukliwi, dziwni ludzie, pomyślałam sobie.

Po godzinie złapałam za kurtkę, bo nie chciałam wracać do domu po ciemku. Kurtka była prawie sucha. Chciałam już iść.

– Muszę już wracać do domu. Robi się ciemno. Nie chcę zabłądzić – powiedziałam jeszcze do Marii.

Na progu natknęłam się na córkę starej Dannerki.

Spotkałyśmy się akurat w samych drzwiach.

Zamieniłyśmy z sobą parę słów. Była trochę miłsza od starej. Potem zaraz wyszłam z Marią. Przeprowadziłam rower przez furtkę ogrodową i pożegnałyśmy się przy płocie. Nie wyglądała na zbyt zadowoloną. Sądzę, że najchętniej wróciłaby razem ze mną do domu.

Doskonale ją rozumiałam. Ale co mogłyśmy zrobić, nie mając wyboru.

To pożegnanie niemal rozdarło mi serce. Chciałam tylko jak najszybciej odejść.

Powiedziałam jeszcze Marii na odchodnym:

– Mam nadzieję, że ci się tu spodoba. A jak nie, to zawsze można znaleźć coś innego.

– Jakoś to będzie – odpowiedziała.

Trzeba ją było po prostu zabrać z sobą i tyle. Przecież znalazłoby się coś innego.

Jestem tego pewna. Ale ja tylko się odwróciłam, wsiałam na rower i odjechałam. Ale gdy tylko Maria zawołała, zatrzymałam się i zsiadłam z roweru.

Maria pobiegła za mną i mocno się przytuliła. Bardzo mocno. Zupełnie jakby nie chciała mnie puścić. Wyrwałam się jej i szybko wskoczyłam na rower.

Naciskałam na pedały, jakby goniło mnie stado wściekłych psów. Nie chciałam się już więcej zatrzymywać. Nie potrafiłam.

Ten dom, to obejście. Nie, tam nawet nie chciałabym być pochowana. Jak o tym myślę, to aż mną trzęsie.

Jak można na tym odludziu z nimi wytrzymać? Biedna Maria. Jak ona mogła z nimi wytrzymać. Strasznie się o nią martwiłam. Czułam, jak mnie ściska w piersiach. Ale co miałam zrobić? Maria nie mogła przecież zostać u nas na kanapie. Poza tym Erwin się wściekał. On już dawno chciał się pozbyć Marii.

Pedałowałam i pedałowałam bez ustanku. Nie zatrzymałam się ani razu. Chciałam tylko jednego – znaleźć się możliwie jak najdalej od tego okropnego miejsca. Chciałam uciec, uciec, raz jeszcze uciec!

Chciałam też uciec przed własnym sumieniem.

W pewnej chwili poczułam coś mokrego na policzkach. Początkowo pomyślałam, że się spociłam od tej jazdy. Ale jak się okazało, to wcale nie był pot. To były łzy.

Zaraz po kolacji Maria idzie do służbówki za kuchnią.

Pokój jest mały. Łóżko, stół, komoda i krzesło. Na nic więcej nie ma miejsca.

Na komodzie miednica i dzbanek.

Naprzeciw drzwi małe okno. Co też można przez nie zobaczyć? Może las? Jutro się dowie. Maria chciałaby, żeby przez jej okno było widać las.

Okienny parapet pokryty jest kurzem. Tak samo stół i komoda. W tej izbie już dawno nikt nie mieszkał. Powietrze jest ciężkie i stęchłe. Ale Marii to nie przeszkadza.

Otwiera szufladę w stole. Na dnie leży wycinek z gazety. Całkiem pożółkły. Obok guzik i kłamra do zamykania słoja na konfitury. Maria zamyka szufladę.

Na prawo od niej stoi łóżko. Zwykłe, brązowe drewniane łóżko. Na nim kołdra i poduszka, obleczone w biało-niebieską pościel.

Maria wzdychając siada na krawędzi łóżka. Siedzi tak przez chwilę i rozgląda się po pokoju. Pozwala błędzić myślom.

Brak jej Gertrudy i dzieci. Ale zawsze to lepiej spać we własnym łóżku, a nie na kanapie. I do tego jeszcze ten Erwin. Dzięki Bogu nie będzie musiała go przez jakiś czas oglądać.

Erwin jej nie lubił. Maria wyczuła to od razu, jak tylko na Nowy Rok wprowadziła się do Gertrudy. Jak tylko przestąpiła próg mieszkania. Żadnego powitania, żadnego uściśnięcia dłoni. Nic. Powiedział tylko do żony:

– A czego ona tu chce? – pokazując głową na Marię i wcale na nią nie patrząc.

– Będzie teraz mieszkać z nami, dopóki nie znajdzie sobie nowego miejsca –

odpowiedziała krótko Gertruda.

– Nie cierpię, jak mi się wyciąga forszę z kieszeni – odburknął.

Ona, Maria, zachowała się wtedy tak, jakby jej wcale nie było. Ale serce zawsze ją bolało, gdy Erwin robił takie uwagi. Nigdy się siostrze nie poskarżyła, ale myślała swoje.

Uważał ją za „głupią”, za „prostaczkę”, za „niedorozwiniętą”. Gadał, że „brak jej piątej kleпки”. Słyszała to wszystko, a nawet i więcej. Nigdy jednak nie odezwała się ani słowem. Ze względu na dzieci i na Gertrudę.

– Całe szczęście, że w tym gospodarstwie też są dzieci – myśli sobie Maria.

Zawsze umiała radzić sobie z dziećmi. „Dzieci to sól ziemi” – było napisane na jednej z kartek kalendarza. Zapamiętała to powiedzenie. Bardzo lubi te kalendarzowe powiedzenia i jak jej się jakieś szczególnie podoba, chowa sobie kartkę z kalendarza i wciąż na nowo je odczytuje.

Maria wzdycha. Wstaje z łóżka. Zaczyna układać swoje rzeczy w komodzie. Chce się jakoś urządzić w tej izbie. Co trochę przerywa. Siada na łóżku. Opuszcza ręce w bezradnym geście.

Wydaje się, że ręce ciążą jej jak ołów. Ciągłe popada w zamyślenie. Myśli o Kirchmeierowej.

O tym, jak chętnie pracowała dla tej starej kobiety. Nawet wtedy, gdy starsza pani zrobiła się jakaś dziwna.

Myśli o bracie. O tym padalcu. Był taki sam jak Erwin. Obaj są podobni do siebie jak dwie krople wody. Pomagała mu przez parę tygodni, kiedy jego żona tak strasznie zachorowała i osłabła. I była naprawdę szczęśliwa, gdy wreszcie mogła się stamtąd wynieść.

Bierze się w garść.

– To nic nie da tak tu wiecznie siedzieć i rozmyślać o życiu – mówi sama do siebie.

Usiłuje się jakoś pozbierać. Musi przecież pójść spać, by móc jutro wstać skoro świt.

Zmarnowała już wystarczająco dużo czasu.



Starannie składa swój dobytek. Znowu zapada się w siebie. Znowu pogrąża się w zadumie. Myśli o pierwszym wspólnym posiłku z nowymi chlebodawcami.

Gospodarz, duży, silny, małomówny mężczyzna. Podczas wieczerzy nie odzywał się zbyt wiele. Pozdrowił ją tylko krótko, jak weszła do izby. Mocny uścisk dłoni. Taksujące spojrzenie. I tyle.

Jego żona. Też bardzo cicha. Starsza od męża. Przygnębiona. Zamknięta w sobie.

Odmówiła modlitwę przed jedzeniem.

Córka. Ta była miła w stosunku do Marii. Zapytała, czy oprócz Gertrudy ma jeszcze jakieś rodzeństwo, siostrzeńców, bratanków. Spytała o ich imiona i o wiek.

Z tą można sobie jeszcze jakoś pogadać, pomyślała Maria.

I dzieci...

Dzieci w tym domu są miłe. Tak, to miłe dzieciaki. Szczególnie mały chłopczyk. Zaraz zaczął się do niej uśmiechać. Przez cały czas chciał się z nią bawić. Pofiglowała sobie z nim.

Wzięła go na kolana i zrobiła konika. Galopowali jak z dziećmi siostry. „Hop, hop, rycerzyku! Hopla, hopla, żołnierzyku!” – podśpiewywała, podczas gdy maluch podrygiwał i podskakiwał na jej kolanach. Dziecko śmiało się radośnie.

Maria momentalnie wstała, gdy młoda gospodyni posłała dzieci do łóżka.

– Pójdę już do siebie – powiedziała. – Muszę się jeszcze rozpakować, żeby móc jutro zacząć zaraz z rana.

Życzyła wszystkim dobrej nocy i poszła do swojej izby.

Ale zostanie tu tylko tak długo, dopóki nie trafi jej się nic lepszego. To wie już teraz.

Chociaż maluch jest taki miły i wygląda na to, że można się dogadać z młodą gospodynią.

Gospodarstwo leży za bardzo na odludziu. A ona chciałaby być bliżej siostry.

Maria prawie wszystko rozpakowała. Pozostał tylko plecak.

Na zewnątrz jest teraz okropnie. Pogoda jeszcze się pogorszyła. Wiatr nasila się coraz bardziej. To już niemal huragan.

Ma nadzieję, że Gertruda szczęśliwie dotarła do domu.

Okno nie jest zbyt szczelne. Wiatr wnika przez szpary w ramie. Maria czuje, jak ciągnie od okna. Odwraca się do drzwi. Są lekko uchylone. Maria chce je zamknąć. Wtedy zauważa, jak skrzypiąc, otwierają się powolutku, coraz to szerzej. Z niedowierzaniem, zdziwiona patrzy na powiększającą

się szczelinę.

Maria jest niezdecydowana. Nie wie, co ma robić. Stoi jak sparaliżowana. Jakby jej odjęto władzę w nogach. Rzuca spojrzenie na poruszające się drzwi. Nie wypowiada ani słowa, nie wydaje z siebie żadnego dźwięku, gdy ogłuszona silnym ciosem pada na ziemię.

Od wszelkiego złego

wybaw nas, Panie!

Od gniewu Swego

wybaw nas, Panie!

Od surowości wyroków Swoich

wybaw nas, Panie!

Od niepokojących sumienie wyrzutów

wybaw nas, Panie!

Od śmierci wiecznej

wybaw nas, Panie!

Od mąk ognia piekielnego

wybaw nas, Panie!

Od gorzkiego lamentu i jęków boleściwych

wybaw nas, Panie!

Przez tajemnicę niepokalanego poczęcia Swego

wybaw nas, Panie!

Przez narodzenie Swoje

wybaw nas, Panie!

Przez święte imię Swoje

wybaw nas, Panie!

Przez chrzest i święty post Swój

wybaw nas, Panie!

Przez bezgraniczną mękę Swoją

wybaw nas, Panie!

Przeważnie wstaje o wschodzie słońca.

Wciąga spodnie. Idzie przez korytarz do kuchni.

Wsadza do pieca kuchennego parę szczap drewna. Napełnia wodą mały niebieski garnek. Stawia go na piecu.

Odkręca kran i szybko przemywa twarz zimną wodą.

Czeka parę minut, aż woda w garnku zacznie się gotować.

Kawa zbożowa stoi w szafce nad piecem. Wlewa do garnuszka wrzątek i wsypuje do niego dwie kopiaste łyżeczki kawy. Obraca się. Z kuchennego kredensu, stojącego na przeciwległej ścianie, wyciąga filiżankę. Sięga do szuflady po sitko do herbaty. Osłodzoną kawę przelewa przez sitko do filiżanki. Do garnuszka z resztką zbożówki wrzuca pokruszoną kromkę chleba. Z filiżanką kawy siada w kącie przy stole. Łyżką wyławia z garnuszka rozmoczony chleb. Siedzi pod oknem tyłem do drzwi i spogląda w mrok.

Latem chętnie siaduje na ławce za domem i tam wypija swoją słodką kawę zbożową.

Nasłuchuje porannego śpiewu ptaków. Powietrze jest jeszcze chłodne i czyste. Ptaki włączają się do śpiewu jeden po drugim. Zawsze w tej samej, niezmiennej kolejności. Ze swego miejsca słucha ich treli, podczas gdy na horyzoncie wschodzi słońce.

Opróżnia filiżankę i odnosi ją do kuchni. Tymczasem obejście ożywia się. Rozpoczyna się zwykły powszedni dzień. Godzina jest jeszcze wczesna. Przeważnie milczy zatopiony we własnych rozważaniach. Gdy noc wyraźnie ustępuje miejsca dniowi, cenne chwile słodkiego nieróbstwa dawno już ma za sobą.

Tak jest latem.

Zimą, jak teraz, siedzi w kuchni przy oknie i wygląda na dwór. Nie może się doczekać dłuższego dnia i powrotu codziennego letniego rytuału.

Hermann Müllner, nauczyciel, lat 35

Nie będę mógł pani za bardzo pomóc, ponieważ zostałem przeniesiony do tutejszej szkoły dopiero na początku tego roku szkolnego. Na początku września. Do tej pory byłem wciąż tak zajęty pracą, że nie miałem jeszcze czasu bliżej poznać miejscowych ludzi.

W drugiej klasie uczę wszystkich przedmiotów oprócz religii. Lekcje religii prowadzi nasz

proboszcz, ksiądz Meißner.

Mała Maria-Anna, takie jest jej właściwe imię, była w mojej klasie.

Była spokojną uczennicą. Bardzo spokojną. Nie brała aktywnego udziału w lekcjach.

Odpowiadała z ociąganiem. Robiła wrażenie nieco roztargnionej. Niezbyt dobra z ortografii.

Czytanie szło jej jak po grudzie. Matematyka... tak, z matematyką było nieco lepiej. Poza tym nic nie zwróciło jakoś szczególnie mojej uwagi.

Jeśli się nie mylę, przyjaźniła się z Elżunią. Siedziały w jednej ławce. Czasami plotkowały podczas lekcji. Ale tak to już jest między przyjaciółkami. Dziewczynki mają sobie zazwyczaj dużo do powiedzenia i nie słuchają, co się mówi na zajęciach.

Tak więc gadały sobie, ale natychmiast milkły, gdy tylko zwróciło im się uwagę.

Od razu zauważyłem sobotnią nieobecność małej Marii-Anny. Dlatego też zapytałem dzieci w klasie, czy nie wiedzą, z jakiego powodu nie przyszła do szkoły. Ale nikt nic nie wiedział. Gdy w poniedziałek znowu nie pojawiła się na zajęciach, zrobiłem adnotację w dzienniku.

Ten dzień niczym nie różnił się od innych. Przed pierwszą lekcją odmówiliśmy jak zwykle modlitwę poranną i jak zawsze modliliśmy się szczególnie za tych uczniów, którzy z powodu choroby nie mogli przyjść do szkoły.

To taki nasz zwyczaj. Taki rytuał. Zawsze tak robimy i nie należy dopatrywać się w tym niczego szczególnego. Wówczas nawet nie przypuszczałem, jak ważna była tego dnia nasza modlitwa dla Marii-Anny.

Zdarza się, że uczniowie nie przychodzą na zajęcia. Potem zazwyczaj są usprawiedliwiani przez rodziców. Albo gdy mają w szkole rodzeństwo, od razu dowiadujemy się o przyczynie ich nieobecności.

Gdyby we wtorek dziewczynka również nie pojawiła się w szkole, zamierzałem pojechać na rowerze na to odludzie, do gospodarstwa jej dziadków. Chciałem pojechać od razu we wtorek, zaraz po szkole, ale coś mnie zatrzymało. Od tego czasu wciąż się zastanawiam, czy nie powinienem był pojechać tam wcześniej. Ale czy to by pomogło małej Marii-Annie? Tego nie wiem.

Ludwik Eibl, listonosz, lat 32

Gospodarstwo rodziny Dannerów leży dokładnie na końcu mojego rewiru. Już niemal od roku roznoszę listy w tej okolicy. Jestem u nich prawie codziennie. A już na pewno co najmniej trzy razy w tygodniu. Danner prenumerował „Wiadomości Heimaurskie”, które ukazują się w poniedziałek, środę i piątek.

Jak nie ma nikogo w domu, zostawiam pocztę na parapecie okiennym koło drzwi wejściowych. Tak żeśmy to ustalili z Dannerem.

W poniedziałek byłem u nich, ale nikt mi nie otworzył. Pocztę zostawiłem w umówionym miejscu. Przy okazji zajrzałem też przez okno. Ale nie zobaczyłem nikogo.

Czasami się zdarza, że nikogo nie ma w domu. Nie, nie ma w tym nic nadzwyczajnego. O tej porze roku ludzie często chodzą do lasu po drewno. Do zbiórki drewna przydają się każde ręce i dlatego też nikt nie zostaje w gospodarstwie.

Pies? Może i szczekał. Pewnie szczekał, ale nie potrafię sobie przypomnieć. Psy zawsze szczekają, jak mnie widzą. Już nawet ich nie słyszę. W moim zawodzie to normalne.

Jak już wsiadłem na rower, obróciłem się raz jeszcze, by sprawdzić, czy torba jest dobrze przymocowana do bagażnika. Kiedy jest pusta, to łatwo ją zgubić. Wtedy znowu rzuciłem okiem na dom.

Czy dymiło się z komina? Ależ pani zadaje pytania. Nie mam pojęcia czy dymiło się, czy nie. Nie rzuciło mi się w oczy.

Ale żeby sprawdzać, czy się dymi, nawet mi nie przyszło do głowy.

Jeśli mam być szczerzy, to za bardzo nie lubię tych odludków. Danner był nieufny.

Dziwak. Jego żona, Dannerka, też nie była lepsza. Niczym się nie różniła od starego. Oboje byli ponurakami.

No, tak to bywa. Dannerka nie miała łatwego życia z tym swoim mężem.

Ich córka, Barbara Spangler, była ładną, zgrabną kobietą, ale wdała się w rodziców.

Chodziły słuchy, że wszystko robią zawsze między sobą w rodzinie, nawet dzieci.

Znałem je, znałem, a jakże. Któż ich nie znał. Jak człowiek pracuje jako listonosz, to dowiaduje się tego i owego. Ale czy od razu trzeba dawać wiarę wszystkiemu, co się słyszy?

Wie pani, mnie tam wszystko jedno, kto był ojcem dwójki dzieci Barbary.

Mam za dużo własnych zmartwień, by się jeszcze zajmować cudzymi. O te sprawy musi się pani spytać kogoś innego. Ja tylko roznoszę pocztę i nic mnie to nie obchodzi.

Dziś przez cały dzień pogoda jest już nieco lepsza niż w ostatnich tygodniach. Śnieg przestał

padać. Ucichł wiatr. Od czasu do czasu z nieba spadają pojedyncze krople deszczu. Pejzaż pokryty jest jakby mlecznobiałym welonem unoszących się znad ziemi oparów. To typowe dla tej pory roku. Od lasu ciągną w kierunku łąk i domu obłoki mgły. Jest późne popołudnie.

Dzień zbliża się ku końcowi. Powoli zapada zmierzch.

Podchodzi do domu. Poczta jest wetknięta pomiędzy pręty kraty okna obok drzwi wejściowych. Jak

nikogo nie ma w domu, listonosz zawsze zostawia pocztę na oknie. Nie potrzeba żadnej skrzynki na listy. Poza tym rzadko się zdarza, żeby nikogo nie było w obejściu. Zawsze ktoś odbiera przesyłki od listonosza. Tylko wyjątkowo zostawia się pocztę na oknie obok drzwi.

Poza gazetą tkwiącą pomiędzy kratą a szybą okienną nie znajduje żadnej innej poczty.

Wsadza gazetę pod pachę. Z kieszeni kurtki wyciąga klucz do drzwi wejściowych. Żelazny, duży, ciężki staromodny klucz. Z latami szerniał i pokrył się nalotem od częstego używania.

Wkłada klucz do zamka i otwiera drzwi.

Z wnętrza domu uderza go fala suchego powietrza, które lekko czuć stęchlizną. Przed przestąpieniem progu odwraca się i rozgląda na wszystkie strony. Wchodzi do środka, zamykając za sobą drzwi.

Idzie korytarzem aż do kuchni. Otwiera kuchenne drzwi. Kawałkiem drewna pozostałego z porannej rozpałki grzebie w piecu. Podobnie jak rankiem, napełnia parownik kartoflami. Karmi i poi bydło. Doi krowy. Oporządza cielęta.

Tym razem jednak nie opuszcza domu po skończeniu pracy w oborze. Wchodzi do stodoły. Bierze kilof, który sobie tam już wcześniej przygotował. W prawym rogu stodoły próbuje wyrąbać w klepisku dziurę.

Oстрым końcem wydłubuje twarde kawałki rozbitej gliny. Ale tuż pod powierzchnią natrafia na twarde, skaliste podłoże. Próbuje raz jeszcze w innym miejscu. Znowu bezskutecznie. Odstępuje od swego zamierzenia.

Rozkopaną ziemię starannie udeptuje i zakrywa sianem.

Wraca do kuchni. Zgłodniał z wysiłku. W spiżarni odkrawa kawał wędzonego mięsa.

Z kuchennej szafki bierze ostatnią kromkę chleba. Jeszcze tylko łyk wody z kranu i wychodzi z kuchni. Opuszcza dom.

Kurt Huber, mechanik, lat 21

We wtorek, tak, to było we wtorek 22 marca 195...

Stary Danner dzwonił do nas do firmy już parę tygodni temu. Bardzo naciskał.

Ale nie było pogody, żeby jechać tam do nich rowerem. To przecież dobre trzy kwadransy. Ciągłe padał śnieg. A w przerwach lało. Tak, to była naprawdę gówniana pogoda.

Poza tym w firmie mieliśmy mnóstwo roboty.

Prawdę mówiąc, nie jeżdżę zbyt chętnie na to pustkowie.

Dlaczego? No, bo Dannerowie są jacyś tacy inni. Dziwaki, ot co. I do tego skąpi.

Prawdziwe kutwy. Żałują człowiekowi każdej kromki chleba, każdego łyka wody.

Jak kiedyś latem musiałem naprawiać silnik maszyny do siekania okopowych, nawet mi nie zaproponowali niczego na ząb, choć była pora obiadowa. Mimo że pracowałem przy tym ich silniku bez przerwy bitych pięć godzin. Nie dali nawet szklanki wody ani łyka mleka.

Nie mówiąc już o czymś mocniejszym.

Ale jeśli mam być szczery, i tak bym u nich niczego nie wziął do ust. Tam wszystko było aż lepkie od brudu i zatłuszczone. Brzydzę się czymś takim.

Jak myłem ręce w zlewie, to sobie dokładnie obejrzałem tę całą ich kuchnię. Nieee.

Fuj! Jak można mieszkać w takim chlewie! Ja bym nie potrafił.

Stara Dannerowa w tym swoim połatanym, zafajdanym fartuchu. Jej mały wnuczek ze stale dyndającym śpikiem.

Tak, proszę mi wierzyć, ani razu nie wytarła dziecku nosa. Maluch raczkował w tym brudzie, podnosił coś z podłogi i pakował sobie do buzi. A Dannerowa tylko patrzyła, nic nie mówiąc. Jak mały zaczynał płakać, to sadzała go na kolanach i dawała mu smoczek, który wcześniej śliniła i tyłała w cukiernicy stojącej na stole. Znowu śliniła i raz jeszcze wtykała do cukru. Proszę sobie to tylko wyobrazić. Wszystko się tam kleiło. A cukiernica była cała upačkana. Oblepiona skorupą utworzoną z zaślinionego cukru.

Nie potrafię tego zrozumieć. Niczego bym tam nie przełknął. Ale uważam, że powinni byli mi coś zaproponować. Tak się przecież robi. Taki jest przecież zwyczaj, no nie?

Toteż jak dostałem to zlecenie naprawienia silnika, wcale się nie paliłem, żeby do nich znowu jechać. I jeszcze przy takiej pogodzie.

Stary Danner zadzwonił jednak ponownie i poskarżył się naszemu majstrowi. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak się do nich wybrać. Wyruszyłem we wtorek, zaraz o ósmej rano. Wpadłem tylko do firmy po narzędzia i pojechałem.

Kiedy przyjechałem? Myślę, że krótko przed dziewiątą. Tak jakoś. Tak, dokładnie, tuż przed dziewiątą. Byłem cały zgrzany, jak wjechałem na podwórze. Chciałem wejść przez furtkę ogrodową i podejść do drzwi wejściowych. Ale furtka do ogrodu była zamknięta.

Pomyślałem sobie, że najpierw im pilno, a jak już się przyjedzie, to nie ma nikogo w domu.

Po czym wykombinowałem, że może są za domem.

A więc objechałem rowerem całe obejście. Na tyłach domu podjechałem pod oba okna obory. Zajrzałem przez nie do środka. Ale niczego nie zobaczyłem. Przecież mogło tak być, że któreś z nich było w oborze przy krowach. Ale nie, nikogo nie było. Popatrzyłem też przez okno kuchenne. Ale tam też nie zauważyłem nikogo.

Tak naprawdę to nie wiedziałem, co mam robić. Oparłem więc rower o drzewo owocowe i czekałem.

Jak długo? Sądzę, że jakieś dziesięć minut. Wyjąłem papierosa i spokojnie go wypaliłem. To trwa zazwyczaj około dziesięciu minut.

– No przecież chyba zaraz ktoś przyjdzie – pomyślałem.

Po chwili rzeczywiście kogoś zobaczyłem. Ale nie rozpoznałem czy to mężczyzna, czy kobieta. Ten ktoś był dość daleko. Stał na skraju pola.

Najpierw myślałem, że to stary Danner, że wreszcie przyszedł.

Zawołałem do niego. A potem jeszcze zagwizdałem. Ale ten na polu widać mnie nie usłyszał. Nie podszedł bliżej. Zaraz zresztą znowu gdzieś zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Poczekalem jeszcze trochę. Czulem się coraz bardziej nieswojo. Nie chciałem też wracać do domu, nie naprawiwszy silnika. Wtedy musiałbym tu znowu przyjeżdżać za parę dni. Przecież silnik sam się nie naprawi.

Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko pójść do szopy stojącej na tyłach stodoły.

Dokładnie mówiąc: na tyłach obory i stodoły, które przylegają do siebie.

Pamiętałem z ostatniego pobytu tutaj, gdzie stała maszyna.

Która była? Coś koło wpół do dziesiątej. Tak, to mogło być wpół do dziesiątej.

Drzwi były zamknięte i dodatkowo zabezpieczone kłódką. Rozejrzałem się, czy nie znajdę gdzieś klucza.

Wie pani, niektórzy ludzie chowają klucz tak, żeby był na wyciągnięcie ręki. Na przykład pod kamieniem, pod wiadrem albo też wieszają na haku tuż pod okapem dachu. Nie może sobie pani wyobrazić, z czym już miałem do czynienia. Ludzie kładą klucz tak, by się nie zawieruszył i żeby w razie czego można go było łatwo znaleźć. Co za głupota, zupełna lekkomyślność. Mogliby sobie darować to całe zamykanie i zostawiać drzwi otwarte. Ale nie.

Głupio postępują, a potem się dziwią.

Dannerowie niestety nigdzie nie zostawili klucza. Ani pod kamieniem, ani pod wiadrem, ani na haku. Jak już mówiłem, nie chciałem wracać do domu, nie załatwiwszy do końca sprawy.

Następnego klienta miałem dopiero po południu. Brunnerów w Elnhausen. Tam po drugiej stronie.

To przesądziło o mojej decyzji. Podszedłem do roweru i zdjąłem z bagażnika skrzynkę z narzędziami. Bardzo ostrożnie odgiąłem kleszczami krótki drut, na którym wisiała kłódka.



Teraz wystarczyło tylko wyciągnąć przytrzymujący drzwi skobel.

Czułem się jak włamywacz albo jakiś złodziej. Ale co tam, nie chciałem tu raz jeszcze przyjeżdżać. A gdyby ktoś nadszedł, zawsze mogłem się przecież wytłumaczyć.

Nikt się jednak nie zjawił. Tylko pies. Słyszałem, jak wściekle ujadał, ale nigdzie go nie widziałem. Słyszałem też krowy. Nie były zbyt głośne. Chociaż teraz przypominam sobie, że cały czas ryczały.

Jak wymontowałem skobel, usunąłem kłódkę i otworzyłem drzwi, mogłem się zająć maszyną. Straciłem już przecież całą godzinę. A takie skąpiradło jak Danner nie zapłaci mi ani grosza za cały ten stracony czas.

Z takim, co liczy każdą minutę, trzeba się z góry o wszystko ułożyć. Taki to zdechnie z głodu z kromką chleba w ręku.

W silniku, w głowicy cylindra pękła uszczelka. Że też na to od razu nie wpadłem.

Taka wymiana musi trwać.

Swego czasu wiecie zaproponowałem staremu Dannerowi, żeby kupił sobie nowy siekacz, a stary oddał w rozliczeniu. To był model jeszcze sprzed wojny. Ale kutwa nie chciał, mimo że taki zakup połączony z wymianą to przecież dziś normalka.

W gospodarstwie w dalszym ciągu nikt się nie pojawiał. Czułem się coraz bardziej nieswojo. Dlatego przez cały czas pozostawiłem drzwi szopy szeroko otwarte. Po pierwsze po to, by mieć lepsze światło do pracy. A po drugie, żeby ktoś, kto przyjdzie, mógł od razu zobaczyć, że naprawiam silnik.

Byłem już niemal gotów. Chciałem jeszcze tylko założyć nakrętkę, ale wypadła mi z ręki i potoczyła się prosto do koryta na wodę.

W tej szopie było takie stare zagłębienie w podłodze na wodę, wykorzystywane do chłodzenia mleka. Na tyle duże, że mieściła się w nim cała stągiew. Dzięki Bogu nie było w nim wody. Było całkiem puste.

Wszedłem do koryta. Nie było głębokie. Takie gdzieś może sięgające nie dalej niż do ud. Wyciągnąłem nakrętkę.

I właśnie kiedy tam stałem schylony, poszukując nakrętki, w pewnym momencie miałem wrażenie, jakby padł na mnie jakiś cień. Nie mogłem go widzieć. To było bardziej odczucie. Takie przeświadczenie. Taki jakby głos wewnętrzny, który ci mówi, że ktoś tu jest, choć nie widzisz żywego ducha. Ale on, ten ktoś, tu jest. Wyraźnie wyczuwasz jego obecność.

Natychmiast wyszedłem z koryta. – Halo! Jest tu kto? – zawołałem.

Żadnej odpowiedzi. Czułem się cały czas nieswojo. A teraz jeszcze na dodatek obleciał mnie strach. Nagle całe to obejście wydało mi się jakieś straszne. I to nieustające ujadanie niewidocznego kundla.

Najszybciej jak tylko mogłem, dokręciłem nakrętkę i spakowałem narzędzia. Sprawdziłem jeszcze, czy silnik działa, i wyleciałem prędko z szopy, aż się za mną kurzyło.

Zamocowałem kłódkę na dawnym miejscu. Wsadziłem rzeczy na rower i przeciąłem podwórko przez środek.

Obchodząc dom, nadal nikogo nie zobaczyłem. Tyle tylko, że drzwi do starej szopy z maszynami były teraz otwarte. Wcześniej były zamknięte. Jestem tego całkowicie pewien.

Pomyślałem sobie, że może ktoś przyszedł. Postawiłem więc rower i podszedłem w kierunku szopy. To było raptem parę kroków.

– Halo! Jest tu kto? – zawołałem ponownie. Ale i tym razem nie otrzymałem odpowiedzi. Nic.

Nie chciałem wchodzić do środka. Obleciał mnie strach.

Podszedłem do drzwi wejściowych prowadzących do domu. Nacisnąłem klamkę. Były zamknięte.

Nie miałem tam już czego szukać. Byłem szczęśliwy, że wreszcie mogę sobie pójść.

Musiałem skończyć tuż po drugiej, gdyż jadąc przez wieś, usłyszałem, jak zegar kościelny wybija „wpół”.

Czy widziałem kogoś na polu? Nie, nikogo nie widziałem. Jedynie parę wron. Ale to przecież normalne przy takiej pogodzie. Znowu zaczęło siąpić. Tak trochę. Pedalowałem wściekle, jakby goniło mnie stado diabłów.

Przez całą drogę myślałem sobie: „Jeśli ktoś był w gospodarstwie, to przecież musiał słyszeć hałasujący silnik. Niemożliwe, by go nie usłyszał”.

Ale pewnie mi się przywidziało. Nikogo tam nie było. Chociaż z drugiej strony coś jednak było nie tak, ten cień, ten głos wewnętrzny, to dziwne uczucie. Nie wiem. Sam nie wiem.

Opowiedziałem o wszystkim klientowi w Elnhausen. Jakoś nie mogłem przestać o tym myśleć. Po prostu nie chciało mi to wyjść z głowy.

Ponad pięć godzin byłem w gospodarstwie Dannerów i w tym czasie nikt się nie pojawił. Pięć godzin sam jak palec i ani żywego ducha.

Brunnerom w Elnhausen ta historia też wydawała się bardzo dziwna.

– Choćby ze względu na tego malca, którego mają. Takie dziecko musi przecież spać i coś zjeść – zauważyła Brunnerowa. – Z takim maluchem nie można się przecież włóczyć przez cały dzień.

– Z pewnością poszli do lasu. Zbiórka drewna zabiera sporo czasu – skwitował na koniec całą sprawę jej mąż.

Nóż. Gdzie jest nóż? Jego scyzoryk. Zawsze nosi go przy sobie, w tylnej kieszeni spodni. Ma taki zwyczaj od dnia, w którym dostał go w prezencie. Od dnia swego bierzmowania.

Jeszcze dziś dokładnie pamięta, jak dostał go w tym uroczystym dniu. Prezent od świadków bierzmowania. Scyzoryk. Piękny poręczny nóż z brązową rękojeścią. Leżał

wówczas w pudełku. Dokładnie to sobie przypomina.

Pamięta również ozdobny papier, w który owinięte było pudełko. Cienki papier w kwiatki. W kolorowe ogrodowe kwiatki. Paczuszka była przewiązana czerwonym sznureczkiem, zawiązanym na kokardkę. Podekscytowany rozerwał papier, spod którego widać było brązową fakturę. Gdy otwierał pudełko, z podniecenia i radości drżały mu ręce. W

środku leżał scyzoryk. Jego scyzoryk. Od tego dnia nosił go dumnie, nigdy się z nim nie rozstając. To był jego najdroższy skarb. Jego własność.

Żaden chłopak w okolicy nie posiadał takiego noża. Gdy miał go przy sobie lub brał

do ręki, narastało w nim to cudowne, radosne uczucie. Chętnie i często brał nóż w dłoń.

Gładził go pieszczotliwie. Scyzoryk dawał mu poczucie bezpieczeństwa. Tak, właśnie bezpieczeństwa.

Z latami, wskutek używania, nóż był coraz bardziej sfatygowany. Ale uczucie bezpieczeństwa pozostawało dalej takie samo jak kiedyś.

A teraz szuka swego noża przez cały czas. Kiedy ostatni raz miał go w ręce? Gdzie go zostawił? Ponownie przebiega w myślach cały poprzedni dzień. Powoli, jak z mgły, wyłania mu się obraz. Ma go przed oczyma. Widzi siebie, jak odcina nożem kawał wędzonego mięsa.

Widzi siebie, jak kładzie scyzoryk obok talerza z wędzonką.

Czuje powoli narastający niepokój. Serce wali mu jak oszalone, podchodząc aż do gardła. Nie schował noża. Jest tego całkowicie pewien. Zostawił go na stole. Swój nóż. Jego nóż leży teraz w spiżarni koło wędzonego mięsa. Widzi go wyraźnie przed sobą. Musi jedynie po niego sięgnąć.

Narasta w nim panika. Musi wrócić do domu. Musi zabrać nóż, swój nóż. Nie może czekać aż do wieczora. Nie może czekać aż zrobi się ciemno. To potrwa jeszcze wiele godzin.

Za długo, żeby czekać. Do wieczora tyle się jeszcze może zdarzyć.

Dlaczego dziś rano o tym nie pomyślał? W pośpiechu nakarmił i napoił bydło w oborze. Wyszedł, nie sprawdzwszy, czy wszystko odłożył na swoje miejsce. To był błąd.

Dlaczego dopiero teraz na to wpadł? Chociaż w tej chwili nie ma to już żadnego znaczenia.

Nie ma wyjścia, musi tam wrócić. Trudno, musi wejść do domu za dnia, narażając się na

niebezpieczeństwo.

Widzi rower oparty o pień drzewa owocowego. Widzi otwarte drzwi do szopy z maszynami.

Słyszy, jak ktoś nuci i pogwizduje. Ostrożnie zbliża się do szopy. Zagląda do środka.

Znajdujący się tam mężczyzna jest tak zajęty naprawą maszyny, że go nie zauważa. Ze swego miejsca przy drzwiach obserwuje obcego człowieka.

Nieznajomemu coś wypada z ręki. Spada, stukając o podłogę. Toczy się po niej i wpada do koryta na wodę. Nieznajomy, klnąc, rozgląda się w poszukiwaniu zguby. Włazi do koryta.

Właśnie na taki moment czekał. Przemyka szybko obok otwartych drzwi. Zanim tamten wygramoli się na zewnątrz, jest już za domem. Wyciąga klucze z kieszeni kurtki i znika w drzwiach. Scyzoryk leży dokładnie tam, gdzie go zostawił. Czeka jeszcze parę minut.

Wydaje mu się, że trwa to całą wieczność. Chce poczekać na dogodną okazję, by móc niepostrzeżenie wymknąć się z domu. Włącza się silnik maszyny. Słyszy hałas. Szybko, przez nikogo niewidziany, opuszcza dom.

Dagmara, siostra Johanna Sterzera, lat 20

To było we wtorek o wpół do trzeciej. Właśnie wyszliśmy z mamą do ogrodu sadzić buraki.

Tyle co przyszliśmy na miejsce, przyjechał mechanik z zakładu napraw maszyn rolniczych. Znam go, bo był już kiedyś u nas. Reperował nam maszynę.

Zahamował tuż przy płocie naszego ogrodu. Stał, nie schodząc z roweru. Zawołał

tylko do nas przez płot, że gdy zobaczymy Dannerów, mamy mu powiedzieć, że silnik znowu działa. Naprawa zajęła mu aż pięć godzin. Rachunek przysła pocztą.

Powiedział to i odjechał.

Zdziwiłyśmy się z mamą, że u Dannerów nikogo nie było. Ale nie zaprzętałyśmy tym sobie już więcej głowy. Zaraz potem pomyślałam o czymś innym, zapominając o mechaniku i Dannerach.

Gdzieś godzinę po odjeździe mechanika pojawił się Jasiek, syn drwala. Wciąż jeszcze byliśmy z matką w ogrodzie. Jasiek wymachiwał rękami jak oszalały. Wywijał nimi w powietrzu jak wariat. Był bardzo zdenerwowany. Krzyczał już z daleka, czy ojciec jest w domu. Wrzeszczał, że u Dannerów coś się musiało stać.

W tym momencie w drzwiach pojawił się ojciec. Zobaczył Jaśka przez okno.

Chłopak nie doszedł jeszcze do naszego domu, kiedy znowu zaczął krzyczeć. Drwał, jego ojciec, przysła go, bo u Dannerów coś jest nie tak.

– Sterzer, musisz iść tam ze mną, do ich domu – powiedział.

Sami z ojcem nie chcieli pójść na to odludzie. Od soboty nikt nie widział Dannerów.

Dziwne, że nawet w niedzielę żadnego z nich nie było w kościele.

Wtedy właśnie przyszedł mi do głowy mechanik. Przypomniało mi się, że powiedział, iż u Dannerów nikogo nie było w domu.

Jasiek mówił, że ciotka posłała go do nich. Miał zobaczyć, co się tam dzieje, bo już od kilku dni żaden z Dannerów nie pojawił się we wsi.

W oborze ryczało bydło, a pies w obejściu piszczał jak oszalały. Jasiek walił do drzwi wejściowych, ale pozostały zamknięte. Stukał i pukał naprawdę z całych sił. Wołał też Barbarę i Mariannę. A że nikt się nie odezwał i że nagle poczuł się w tym obejściu tak jakoś nieswojo, wrócił galopem do ojca.

Wszystko mu opowiedział, a ten posłał Jaśka do nas, żeby też ktoś od nas poszedł do gospodarstwa Dannerów. Chłopak przyszedł zatem i chce, żeby ojciec z Aloisem zaraz poszli z nim na to odludzie. Na miejscu, w obejściu, czeka już na nich drwal.

Ojciec z Aloisem pobiegli więc zaraz do gospodarstwa Dannerów. Wzięli z sobą Jaśka.

I tam ich znaleźli. Wszystkich, co do jednego.

Przez ochocze poświęcenie Swoje,

wybaw nas, Panie!

Przez nieskończoną miłość boskiego serca Swego,

wybaw nas, Panie!

Przez strach i trud Swój,

wybaw nas, Panie!

Przez krwawy pot Swój,

wybaw nas, Panie!

Przez pojmanie i uwięzienie Swoje,

wybaw nas, Panie!

Przez okrutne biczowanie Swoje,

wybaw nas, Panie!

Przez bolesną koronę cierniową Swoją,

wybaw nas, Panie!

Przez haniebne wyszydzanie Swoje,

wybaw nas, Panie!

Przez mozolne niesienie krzyża Swego,

wybaw nas, Panie!

Przez świętą krew ran Swoich,

wybaw nas, Panie!

Przez ból krzyża i gorycz męki Swojej,

wybaw nas, Panie!

Przez śmierć i pogrzeb Swój,

wybaw nas, Panie!

Przez święte zmartwychwstanie Swoje,

wybaw nas, Panie!

Przez cudowne wniebowstąpienie Swoje,

wybaw nas, Panie!

Przez Ducha Świętego Pocieszyciela zesłanie,

wybaw nas, Panie!

W dzień sądu Swego,

wybaw nas, Panie

My grzeszni, Ciebie prosimy,

wysłuchaj nas, Panie!

Ty, któryś grzesznicy Marii Magdalenie wybaczyć raczył, Ciebie prosimy, wysłuchaj nas, Panie!

Michał Baumgartner brnie w śniegu z deszczem do Tannöd, kierując się do samotnie położonego gospodarstwa. Wiatr wieje mu w twarz. Zna drogę. Zna też całe obejście. W

przeciwnym razie trudno by mu było przy tej pogodzie, w środku nocy trafić na to odludzie.

W minionych latach często tu pracował. Wiosną w lesie, a latem w polu. Pracy zawsze było pod dostatkiem.

Mich, jak go wszyscy nazywali, nie lubi pracować zbyt długo w jednym miejscu.

Dlatego ciągnie od jednego gospodarstwa do drugiego. „Zawsze w drodze”, jak sam mówi.

Czasem sypia w stodole, czasem na poddaszu.

Wszyscy myślą, że na utrzymanie zarabia dorywczą pracą. Od czasu do czasu pojawia się też jako domokrążca.

W rzeczywistości jednak żyje z kradzieży, włamań i deptania po piętach drobnym rzezimieszkom.

Rozgląda się po gospodarstwach, w których pracuje. Gdy odchodzi, wie już wystarczająco dużo. Wie, gdzie i komu co ukraść. Mich posiadał w dużym stopniu sztukę zjednywania sobie ludzi. Ma talent do tego, „żyłkę”, jak sam mówi.

Przez jakiś czas ciężko pracuje u gospodarza. Nie unika żadnej roboty. W ten sposób zdobywa zaufanie. Nie może wyjść z podziwu, jak dobrze gospodarz trzyma wszystko „w garści”, jak „świetnie funkcjonuje gospodarstwo”. Do tego jeszcze dodaje dwa żarciki, jedno porozumiewawcze przymrużenie oka, i już dumny właściciel zaczyna się przechwalać. Taki zawsze da się złapać na podziw i pochlebstwa. Także wtedy, gdy jest tylko sam, zamknięty i skryty. Mich wysłuchuje zwierzeń, mając przy tym uszy i oczy szeroko otwarte. Po pewnym czasie odchodzi. Wiedzę o gospodarstwach i ich właścicielach przekazuje dalej albo sam korzysta z nadarzającej się okazji.

Gdy ktoś postępuje mądrze, nie jest chciwy i umie czekać, aż nadejdzie właściwy czas, wtedy przeważnie dobrze na tym wychodzi. Nie wolno tylko dać się złapać. A wiadomo, że łapie się jedynie pazernych, chciwych, nieznających umiaru i nieostrożnych.

Mich nie jest chciwy. Chciwość nie leży w jego naturze. A czasu ma aż nadto.

Potem szwagier rozprowadza wśród ludzi kradziony towar. Jego siostra z mężem mają małe gospodarstwo w Unterwaldzie. Dom jest położony idealnie. Na uboczu, trudno go zauważyć.

Zaraz po wojnie szwagier nieźle zarabiał na czarnorynkowym handlu. Ale wystarczyła sama tylko reforma walutowa z 30 czerwca 1948, by w jedną noc załatwić cały czarny rynek.

Szwagrowi jednak udało się podczas nielegalnego handlu nawiązać dobre kontakty. I tak powstał mały krąg paserów, handlarzy i podręcznych magazynów.

Każdy miał swoje zadanie. Mich wędrował od gospodarstwa do gospodarstwa i wypytywał ludzi. Jak tylko się trafiła okazja, zakradał się do upatrzonego domu. On albo szwagier, albo któryś ze starych kompanów. Rabowali pieniądze, odzież, biżuterię, żywność, krótko mówiąc: wszystko, co można było upłynnić. Nigdy nikomu nawet nie przeszło przez myśl, by łączyć z włamaniami Micha,

który przezornie zniknął. Przez długi czas nie pokazywał

się na oczy poszkodowanemu gospodarzowi.

Jak tylko grunt zaczynał mu się palić pod nogami, zmieniał okolicę. Albo robił sobie przerwę. Przeszawiał interesy na inne tory.

Handel obwoźny też dawał dobre możliwości.

Szwagier był komiwojażerem przed pierwszą wojną światową, a nawet jeszcze w pierwszych jej latach. Handlował z chłopami czym się dało: sznurowadłami, smarowidłami na porost włosów, prawdziwą kawą przed wojną, a podczas wojny już tylko jej podróbką. I każdym innym możliwym towarem. Ze względu na ranę w nodze został uznany za inwalidę i zwolniony od służby wojskowej. „Adolf potrzebuje żołnierzy, a nie kaleki. Kaleki to może se sam zrobić”<sup>1</sup> – mawiał, uśmiechając się przy tym przebiegle i poklepując po nodze.

Również teraz, gdy czarny rynek już przestał istnieć, szwagier ruszał od czasu do czasu w drogę jako komiwojażer.

Początkowo Mich jedynie mu towarzyszył. Później sam także stał się komiwojażerem.

Ale zajmuje się tym tylko okazjonalnie.

Znacznie chętniej pracuje u rolników, wynajmując się do różnych robót. Przy okazji bierze chłopów na spytki i rozgląda się po ich gospodarstwach.

Ostatnio późnym latem pracował przez jakiś czas przy zbiorach chmielu. Zarobek był

niezły. Wyżywienie też niczego sobie. A nocleg w stodole całkowicie odpowiadał jego gustom.

Od jesieni zaś, lecz trwało to dość krótko, chodził jako komiwojażer od domu do domu. Nawet zahaczył o Tannöd, o to pustkowie. Ale nie pokazał się Dannerowi na oczy. Nie chciał, by go tu widziano, gdyż upatrzył sobie tę wioskę. Była na jego liście. Na złe czasy.

Jako rezerwa, rzec można.

1 mowa o Adolfie Hitlerze – przyp. tłum.

Nie upadł przecież na głowę. Niektóre smakowite kąski trzeba sobie przecież zostawić na złe czasy. Traktować je, jak to się mówi, jak pończochę z oszczędnościami. A Danner był

tłustym kąskiem i po same brzegi wypchaną pończochą. Mich dobrze o tym wiedział.

W listopadzie nie wiodło mu się najlepiej. Chcieli ze szwagrem upłynnić druty miedziane.

Na miedź był wciąż spory popyt i można ją było dobrze sprzedać, gdy się znało właściwych handlarzy. Szwagier miał w ręku paru facetów, złodziei przewodów naziemnych i kabli



telefonicznych. To, co udało im się ukraść, trzeba było potem sprzedać. Faceci nie byli jednak zbyt bystrzy i wszystko poszło nie tak jak trzeba. Toteż tym razem Mich musiał z powodu paserstwa i paru innych drobnych sprawek pójść po raz pierwszy na parę tygodni za kratki. Nie na długo wprawdzie, ale w sumie było tego ze trzy miesiące.

Dopiero od niedawna jest znowu na wolności. Nie może się zatrzymać u siostry.

Szwagier wciąż jeszcze siedzi, a siostra nie może go przecież żywić. A zatem nadszedł czas, by sięgnąć po pończochę. Dojrzał do złożenia wizyty Dannerom.

Ze swoich wcześniejszych pobytów tutaj dobrze zna każdy kąt w tym gospodarstwie.

Stary Danner pokazał mu kiedyś cały dom wraz z obejściem. A że Mich był prawdziwym przyjacielem, wspomniał mu też o „zaskórniakach”.

„Stary dureń” powiedział mu nawet, że „nie wszystkie swoje pieniądze trzyma w banku”. Zawsze ma coś schowanego w domu. I to niemało. Nastrój był wówczas znakomity.

Mich wiedział, jak się przypochlebić Dannerowi i stać się jego ulubieńcem.

Stary był cwaniakiem. A z takimi Mich umiał sobie radzić. Zwłaszcza że Danner chwalił się Michowi, jak nabierał sąsiadów albo w jaki sposób ich kantował.

Gadał i gadał, a Mich miał go coraz bardziej w garści. Dlatego teraz w środku nocy podąża do domu Dannera. Nie spodziewał się jednak, że pogoda będzie aż tak podła. Gdy dociera wreszcie do gospodarstwa, jest przemoczony do suchej nitki. Orientuje się doskonale, gdzie co leży. Nawet pies nie stanowi problemu.

Podczas swoich wędrówek trafił kiedyś do pasterza, który nauczył go obchodzić się z psami. Poza tym zwierzak zna go z wcześniejszego pobytu w gospodarstwie.

Przez starą szopę z maszynami przemyka się do stodoły. Stamtąd na poddasze. To dla niego dziecinnie proste. Wszystko poszło jak z płatka. W ciemnościach nikt go nie zauważył.

Za pomocą liny przywiązanej do drewnianej belki pod dachem stodoły zabezpiecza sobie odwrót. Tak na wszelki wypadek. Potem, by stłumić kroki, rozsypuje słomę po podłodze. Nie może obudzić śpiących pod nim ludzi. Nikt nie może zauważyć jego obecności. Dziś jest piątek. Za parę godzin wszędzie słońce. Stąd, z góry, będzie obserwował zagrodę. W

sprzyjającym momencie wejdzie do domu, by „rozpruć świnkę skarbonkę”. Jest zadowolony.

W jego zawodzie pośpiech jest złym doradcą. Istnieje jednak powiedzenie: „Śpiesz się powoli”. Tu na górze nikt go nie znajdzie. Od wewnątrz może zdjąć kilka dachówek i w ten sposób będzie mieć widok na całe obejście. Może czekać. Ma czas.

Georg Hauer, rolnik, lat 49

Po raz ostatni widziałem Dannera w piątek. Taak, osiemnastego marca.

W tym dniu chciałem pojechać do Elnhausen.

Musiałem tam odebrać coś ze sklepu żelaznego. Chcę w tym roku wybudować nową stodołę. Dlatego wziąłem furmankę.

Myszę, że na piechotę będzie to dobra godzina drogi.

Jak przejeżdżałem koło Dannerów, zobaczyłem starego. Machał do mnie już z daleka.

Od czasu sprawy z Barbarą zawsze staram się jak mogę schodzić Dannerowi z drogi.

Od tamtej pory nie rozmawialiśmy z sobą za wiele. Ale mimo to stanąłem. Wbrew sobie.

– Zatrzymaj się, muszę cię o coś zapytać – zawołał stary.

Najpierw tylko coś kręcił, nie mówiąc jasno, o co chodzi. Byłem nieomal wściekły na siebie, że się zatrzymałem. Lecz oto nagle, ni stąd, ni zowąd, pyta mnie, czy coś widziałem, czy mi coś podpadło.

– A co niby miało mi podpaść? Nic mi nie podpadło. – Byłem już naprawdę wściekły, że mnie zatrzymuje.

Jak tak zagaduje, to pewnie znowu czegoś chce. Danner to krętacz, cwany drań.

Zawsze trzeba mu patrzeć na ręce. Dlatego byłem zdziwiony, że tylko mnie spytał, czy kogoś nie spotkałem albo nie widziałem.

– A niby kogo? – zapytałem.

– Dziś w nocy ktoś próbował się do nas włamać. Niczego nie ukradł. Ale wyłamał zamek w szopie z maszynami.

– To musisz zgłosić żandarmom – poradziłem mu.

Ale odpowiedział mi, że nie chce w domu policji.

– Z mundurowymi nie chcę mieć nic do czynienia.

Przeszukał już cały dom. Zajrzał nawet na poddasze. Przejrzał z latarką wszystkie kąty. Ale niczego nie znalazł.

Ostatniej nocy wydawało mu się, że ktoś chodzi po strychu. Dziś z samego rana wlaź na górę. Ale też niczego nie znalazł. Nic nie zginęło, jak mówił.

Zapytałem go, czy mam mu pomóc w przeszukaniu obejścia. Niewzruszony jak zwykle, stwierdził

jedynie, że ten ktoś z pewnością już uciekł. Nie wie tylko jak, bo ślady prowadzą w jedną stronę, do domu. Nie widać natomiast żadnych śladów z domu do furtki.

Ostatniej nocy spadł świeży śnieg. Niedużo, ledwie ze dwa centymetry. Ale ślady stóp były jeszcze częściowo całkiem dobrze widoczne.

– Czy przynieść ci moją spluwę? – zapytałem. Z czasów wojny mam jeszcze rewolwer bębenny.

Danner tylko machnął ręką.

– Nie, nie trzeba. Mam własną strzelbę i pałkę. Jak mi się nawinie, sam załatwię drania. Już ja mu pokażę.

Zaproponowałem więc, że wracając do domu, wstąpię do niego, żeby wspólnie przeszukać całe obejście.

Ale stary uparciuch odmówił.

Właśnie miałem odjeżdżać, gdy się odwrócił i stwierdził:

– Głupio tylko, że wczoraj gdzieś mi się zapodział klucz do drzwi wejściowych.

Gdybyś znalazł jakiś klucz, o taki długi – pokazał rękami jego długość – to będzie to mój.

Rozmowa była skończona. Natychmiast ruszyłem dalej. Właściwie to zamierzałem zajrzeć do Dannerów w drodze powrotnej.

Ale pogoda znowu się pogorszyła. Lało jak z cebra i do tego jeszcze momentami sywał śnieg. Dlatego pojechałem prosto do domu.

W nocy ponownie chwycił mróz. W tym roku wiosna jakoś nie chciała przyjść.

Od razu zauważyłem, że w niedzielę nikogo z Dannerów nie było w kościele. Ale nie przyszło mi do głowy, że mogło się cokolwiek stać.

W poniedziałek byłem na polu leżącym na skraju lasu. Graniczy ono z ziemią Dannerów. Przeorałem pole. Wtedy też nie widziałem żadnego z nich.

We wtorek szwagierka, Anna, posłała Jaśka do ich gospodarstwa, żeby się rozejrzył.

Wtedy dopiero przypomniałem sobie tę historię z włamaniem i zgubionym kluczem. A resztę to już sama pani wie.

Stara Dannerowa siedzi w kuchni przy stole. Modli się: Najłaskawszy w swej dobroci Jezu Chryste, Zbawicielu nasz, Tyś naszym życiem i naszym zmartwychwstaniem.

Proszę Cię,

nie opuszczaj mnie w biedzie mojej i obawach moich,

ale przez krwawą mękę najświętszego serca Twego

i ból niepokalanej matki Twojej,

przyjdź z pomocą służebnicy Twojej,

którąś przez drogocenną ofiarę krwi Twojej wybawić raczył.

Trzyma w ręce stary, rozpadający się modlitewnik. Jest sama. Sama z sobą i swoimi myślami.

Barbara poszła do obory. Chce jeszcze raz rzucić okiem na bydło. Mąż leży już w łóżku. Podobnie jak dzieci i nowa służąca.

Ten wieczorny czas to jej największy skarb. Siedzi w kuchni z różańcem w ręku.

Zużyty jak modlitewnik. Dostała go przed laty, w zupełnie innym życiu, innym świecie. W

prezencie ślubnym, jak to było w zwyczaju. Modlitewnik dla bogobojnej żony, dobrej chrześcijanki.

Kto wie, czy w ogóle byłaby w stanie przeżyć to życie bez pociechy, bez łaski Jezusa i Matki Boskiej? Życie pełne upokorzeń, poniżeń i razów. Jedynie pociecha, którą znalazła w wierze, jakoś jeszcze pozwala jej przetrwać. Przetrzymać te wszystkie lata. Komu mogłaby zaufać? W kim szukać oparcia? Matka zmarła podczas pierwszej wojny światowej. Ojciec niedługo po niej. Krótco po tym, jak jej przyszły mąż najął się w ojcowskim gospodarstwie za parobka.

To właśnie wówczas po raz pierwszy ktoś poświęcił jej nieco uwagi. To zainteresowanie jej osobą było jak balsam dla duszy. Krzepiło i dodawało siły. Aż do tej pory o jej życiu stanowiła jedynie praca i głęboka wiara rodziców. Wyrosła w zimnym bigoteryjnym otoczeniu. Żadnej tkliwości, żadnych czułych gestów, żadnego ciepła, żadnego dobrego słowa. Życie, jakie wiodła, płynęło w rytmie zmieniających się pór roku i związanych z nimi prac gospodarskich oraz ograniczeń i nakazów wynikających z surowej wiary rodziców.

Duchowa ciasnota była wręcz fizycznie wyczuwalna.

Pewnego dnia pojawił się w gospodarstwie parobek, jej przyszły mąż. Ona, która nigdy nie była specjalnie ładna, stała się przedmiotem zabiegów tego atrakcyjnego mężczyzny. W głębi duszy dobrze jednak wiedziała, że rzeczywistym przedmiotem jego pożądania wcale nie była ona, niepozorna, mała, szara, nieco już nadwiędnięta kobieta. Ona –

stara, trzydziestodwuletnia panna na wydaniu. On natomiast wysoki, przystojny, niespełna dwudziestosiedmioletni. Wiedziała od początku, a mimo to pozostawała ślepa na fakt, że on pragnie jej gospodarstwa, a nie jej ciała.

Wyszła za niego wbrew zdrowemu rozsądkowi. Zaraz po ślubie bardzo się zmienił.

Pokazał swą prawdziwą twarz. Stał się wobec niej grubiański. Obrażał ją, a nawet i bił, gdy nie spełniała jego zachcianek.

Znosiła wszystko bez słowa skargi. Nikt nie potrafił tego pojąć. Ale ona kochała tego mężczyznę. Kochała go nawet wtedy, gdy ją katował. Była od niego całkowicie uzależniona.

Wielbiła każde słowo, które wymówił. Znosiła jego bezwzględne i okrutne zachowanie. Jego wybryki.

Zdradzał ją z ówczesną służącą. Otwarcie, na oczach wszystkich. Wtedy to musiała po raz pierwszy wynieść się z sypialni małżeńskiej i przenieść do komórki, ponieważ tamta zajęła należne jej miejsce. Ale była od niego w pełni uzależniona, oddana mu duszą i ciałem, całkowicie mu podporządkowana i uległa. Przez całe życie.

Barbara, ich córka, przyszła na świat na polu podczas wykopków.

Nawet na czas porodu nie pozwolił jej położyć się we własnym łóżku. Rano, gdy poczuła pierwsze bóle, pognął ją razem z innymi na kartoflisko. Zgięta wespół z bólu, z dzieckiem, które gwałtem chciało opuścić jej ciało, powlokła się na zakrwawionych nogach na skraj pola, gdzie urodziła małego robaczka. Wydała na świat dziecko pod gołym niebem.

Zaraz po porodzie zapędził ją do roboty. Nie zostawił jej w spokoju.

Służąca odeszła, a ona powróciła do małżeńskiej sypialni. Znowu mu uległa. Bez słowa skargi. Nie potrafiła inaczej.

Służące przychodziły i odchodziły. Tylko niektóre z nich pozostawały dłużej. Sądziła, że mąż z biegiem lat się uspokoi. Pogodziła się z losem.

Tymczasem ich córka, Barbara, zaczynała dorastać. Bezgranicznie kochała ojca. A on był wobec niej pełen oddania i tkliwości. Mała miała dwanaście lat, gdy ojciec po raz pierwszy ją zgwałcił. Ale jej matce jakoś nieśpieszno było dostrzec fakt, że dziewczynka przestała być już dzieckiem.

Nie chciała widzieć wykorzystywania seksualnego córki. Przymykała oczy na wszystko. Była za słaba, by rozstać się z mężem. Zresztą dokąd miałyby pójść. Z jego obcowania z młodym ciałem płynęła przynajmniej ta korzyść, że przestał jej okazywać jakiegokolwiek zainteresowanie.

Im bardziej córka stawała się kobietą, tym mniej był zainteresowany sypianiem z żoną.

Było jej to bardzo na rękę.

A więc milczała. Mąż mógł robić, co chciał, nie napotykając żadnego sprzeciwu z jej strony. Ani z żadnej innej.

Tylko jeden jedyny raz stało się inaczej. Chodziło o tę małą Polkę przydzieloną im do pracy w

gospodarstwie podczas wojny, w ramach przymusowych robót. Ta mu się wymknęła.

Jej, żonie, zostało to oszczędzone.

Miała ciężkie życie. Życie pełne cierpienia i poniżenia. Ale nie potrafiła się z nim rozstać. Nie potrafiła też odebrać sobie tego podłego życia. Musi przejść tę drogę do samego końca i opróżnić do dna swój kielich goryczy. Wiedziała o tym. To była próba, której poddał

ją Bóg.

Dziwne, że właśnie dzisiaj pomyślała o tej Polce. Polska niewolnica ostatnio często przychodzi jej na myśl. Towarzyszy jej we wspomnieniach jak cień. Przez lata nie myślała ani razu o tej dziewczynie. Dopiero teraz. Stara kobieta odkłada modlitewnik. Spogląda przez okno w ciemną burzliwą noc.

Mąż przez cały dzień szukał łotra, który wczoraj próbował wdrzeć się do domu.

Ostatniej nocy słyszała kroki. Jakby ktoś „się kręcił”.

Ale mąż nikogo nie znalazł i dzień przebiegł spokojnie. – Ten łajdak z pewnością sobie poszedł gdzie pieprz rośnie – powiedział.

– Wszystko przeszukałem, niczego nie brakuje. Zamknę dziś na noc psa w oborze. Ten nikomu nie popuści. A koło łóżka postawię strzelbę.

Jego słowa uspokoiły wszystkich. Dziś czuła się w domu tak pewnie, jak jeszcze nigdy dotąd w całym swoim życiu. Barbara chciała raz jeszcze zajrzeć do obory, żeby „sprawdzić, czy wszystko jest w porządku”.

Ciężko wstała od stołu. Wzięła książeczkę do nabożeństwa i położyła ją na kuchennym kredensie. Wyszła. Poczłapała do obory.

Stary Danner przewraca się w łóżku z boku na bok. Sen jakoś wcale nie chce przyjść.

Próbuje zasnąć, ale wiatr gwizdże nieustannie w szparach okiennych, nie dając mu spokoju.

Cały dom wywrócił dziś do góry nogami. Nie mogą mu wyjść z głowy ślady stóp.

Ślady stóp prowadzące do domu. Rano widział je wyraźnie, odcisnięte w świeżym śniegu.

Były tam jeszcze, dopóki nie zmył ich deszcz.

Przeszukał wszystkie kąty i zakamarki domu. Ale niczego nie znalazł. Jest całkowicie pewien, że nikt nie byłby w stanie ukryć się przed nim w jego gospodarstwie. To przecież jego królestwo, które zna jak własną kieszeń.

Naprawił zamek w szopie z maszynami. Ten łajdak zapewne okrążył dom i zniknął w lesie. Mógł

pójść tylko tą drogą. W przeciwnym razie byłyby widoczne dalsze ślady pozostawione przez łotra.

Wieczorem raz jeszcze przeszukał całe gospodarstwo. Przy tym wpadła mu w oko przepalona żarówka w oborze. Trzeba będzie wkręcić nową. Do tego czasu będą musieli używać starej lampy olejowej. Na tyle, na ile się da.

Nowa dziewczyna wygląda na taką, co się nie boi roboty. Taka właśnie jest mu potrzebna.

Nie chce takiej, co nie umie pracować. On i Barbara mają za dużo roboty w obejściu.

Przynajmniej latem.

Zimą jeszcze jakoś da się wszystko ogarnąć. Ale coraz trudniej jest dostać do pracy parobka albo służącą. Większość szuka szczęścia w mieście. Przyciąga ich lepsza płaca i lżejsza robota.

Życie w mieście to nie dla niego. On musi być wolny. Być panem samego siebie. Nikt nie ma prawa o nim decydować. To on jest wyrocznią we wszystkich sprawach. Tu, w obejściu, jest sam sobie Panem Bogiem. A jego baba może się modlić, ile chce. Z wiekiem staje się coraz większą bigotką.

Co ta stara tak długo robi? Spędza pół nocy na modlitwie przed krucyfiksem, marnując drogi prąd. Musi wstać i sprawdzić.

W skarpetach, ubrany tylko w nocny przyodziewek i kalesony, nakłada drewniane chodaki. Człapie po kamiennej kuchennej podłodze.

Drzwi do pomieszczenia obok stoją otworem.

– Cóż to? Czego ta kobieta szuka po nocy w oborze? Że też człowiek musi sam zawsze wszystkiego dopilnować.

Rozeźlony wchodzi do sąsiedniego pomieszczenia, a stamtąd udaje się do obory.

Przez cały dzień Mich obserwował ze swego posterunku krzątanię w obejściu.

Wygląda na to, że zauważono ślady włamania. Ale zejście staremu z drogi jest dla niego dziecinnie proste.

Stary przeszukuje cały dom. Włazi nawet na poddasze, na którym ukrył się Mich.

Mich wstrzymuje oddech. Zaciska dłoń na nożu wetkniętym w kieszeń. Zastyga w bezruchu. Nieruchomieje ukryty za kominem, tuż za plecami Danner. Może dotknąć jego ramienia. Gospodarz stoi na schodach prowadzących na poddasze dosłownie na wyciągnięcie ręki. Próbuje oświetlić wnętrze lampą z cienkim, ledwie tłącym się knotem. Nie zauważa ani porozrzucanej po podłodze słomy, ani wiszącego sznura.

Mich czeka cały dzień. Ma czas. Dobrze wie, gdzie stary chowa pieniądze. Ma plan opracowany w najdrobniejszych szczegółach.

Wszystko przebiega dokładnie tak, jak przewidział. Może opuścić dom niezauważony przez nikogo. A jeśli się myli?

Na tę myśl wzrusza ramionami. Jak trzeba, nie cofnie się nawet przed przemocą.

Przemoc stanowi część jego „zawodu”. Jak będzie trzeba, użyje siły.

Wieczorem pojawiają się w obejściu dwie obce osoby. Dwie kobiety zbliżają się do domu w strugach deszczu. Pukają do drzwi. Po godzinie wychodzą. Żegnają się i jedna z nich wraca do domu.

Jasiek Hauer, lat 13, syn Georga Hauera

We wtorek ciotka kazała mi lecieć do Dannerów.

– Ni widu ich, ni słychu – powiedziała do mnie. – Może coś się u nich stało i potrzebują pomocy?

Pobiegłem więc.

Myślę, że było gdzieś koło trzeciej. Ale nie jestem pewien.

W obejściu nie zobaczyłem nikogo. Zapukałem do drzwi. Pukałem naprawdę mocno.

A potem zacząłem walić pięściami. Ale drzwi pozostawały zamknięte na cztery spusty. Nikt nie wyszedł otworzyć.

Okrzyżłem dom. Zajrzałem we wszystkie okna. Nie mogłem niczego zobaczyć.

Obejście wyglądało na całkiem opuszczone. Jakby w nim nikogo nie było.

Usłyszałem psa. Zaskowyczał żałośnie w oborze. A potem zaryczały krowy. Ale nie wszedłem, bo drzwi były zaryglowane od wewnątrz.

Wiem, że do obory można wejść przez szopę z maszynami, skąd wchodzi się najpierw do stodoły, a stamtąd przez drewniane drzwi po lewej stronie – prosto do obory.

Drzwi do szopy z maszynami nawet były otwarte. Zawołałem Barbarę i Mariannę.

Nikt nie odpowiedział. Sam nie chciałem wchodzić do środka. Za bardzo się bałem, bo krowy tak jakoś dziwnie ryczały. Inaczej niż zwykle. Tak jakby je pozostawiono samym sobie na pastwę losu.

Przeszły mi po plecach takie ciarki, że aż dostałem gęsiej skórki.

– Coś jest nie tak – pomyślałem. Cały czas to czułem. W głowie rozdzwoniły mi się dzwony. Dzwony alarmowe, takie jak na pożar. Dlatego tak szybko, jak tylko mogłem, pobiegłem do domu i opowiedziałem o wszystkim ciotce i ojcu.

Ojciec powiedział, żebym przyprowadził Sterzera, bo nie chce iść sam do Dannerów.



Przed domem Sterzerów zobaczyłem Dagmarę z matką. Pracowały w ogrodzie.

Tak byłem przejęty, że już z daleka krzychałem, czy gospodarz jest w domu. Jak mnie usłyszał, natychmiast ukazał się w drzwiach. Powiedziałem mu, że coś się musiało stać u Dannerów, że nikogo nie ma w domu, że pies strasznie piszczy, że bydło ryczy w oborze jak oszalałe. Powiedziałem też, że ojciec kazał mi go przyprowadzić, żeby razem poszli zobaczyć, co się tam wydarzyło. Mam go przyprowadzić, bo ojciec nie chce iść tam sam.

Sterzer zaraz zawołał Aloisa. Alois to jego parobek i narzeczony Dagmary.

Poszliśmy w kierunku gospodarstwa Dannerów.

Po drodze, niedaleko domu spotkaliśmy ojca. Czekał na Sterzera. Ruszyliśmy razem do Dannerów.

I wtedy znaleźliśmy ich.

Nie, nie ja, bo ojciec nie pozwolił mi wejść do środka. Powiedział, że mam zostać na podwórzu.

Ale jak zobaczyłem białe jak kreda twarze Sterzera i Aloisa po ich wyjściu z domu, byłem rad, że tam nie wszedłem.

Ojciec kazał mi natychmiast wracać do wsi i „od wójta zadzwonić po żandarmów”.

Tak też zrobiłem. Wziąłem rower i pogałem do wsi, do wójta. Wrzeszczałem na całe gardło, że wszyscy Dannerowie nie żyją. Że wszystkich zamordowano. Krzychałem o tym każdemu napotkanemu prosto w twarz. Wójtowi też.

Johann Sterzer, lat 52, rolnik z Górnego Tannöd

Siedziałem w izbie. Jaśka zobaczyłem już przez okno. Wymachiwał rękami i coś tam krzychał.

Od razu pomyślałem, że coś musiało się wydarzyć. Myślałem, że coś się stało u Hauerów.

Dlatego natychmiast wypadłem z domu. Jasiek powiedział tylko tyle:

– Ojciec mnie przysłał, bo u Dannerów nikt się nie rusza.

Chłopak był już raz w ich gospodarstwie, ale nikogo nie zastał. Tylko pies strasznie piszczał. Bydło też było bardzo niespokojne.

– Ojciec nie chce iść tam sam – powiedział mi. Wtedy zawołałem Aloisa i razem z Jaśkiem ruszyliśmy do Dannerów.

Już wcześniej spostrzegłem, że coś tam u nich nikogo nie widać. Jak orałem w sobotę pole graniczące z ziemią Dannera, to przez cały czas też żadnego z nich nie widziałem.

Wydawało mi się to dziwne, ale nie zaprzątałem sobie tym głowy.

– Pewnie poszli po drewno – pomyślałem sobie.

Niedaleko domu natknęliśmy się na Hauera. Czekał na nas. Dalej poszliśmy już razem. Od razu zauważyłem otwarte drzwi do szopy z maszynami.

Hauer znał dobrze to gospodarstwo od czasu tej całej sprawy z Barbarą. Kiedyś często tam zachodził.

– Do domu możemy się dostać przez stodołę. Stamtąd są drzwi do obory, przez którą wejdziemy do domu – powiedział do nas, do Aloisa i do mnie.

Jaśkowi zaś kazał poczekać na zewnątrz. To było rozsądne. Tak więc weszliśmy do środka tylko we trójkę. W szopie były małe drzwiczki prowadzące do stodoły, ale okazało się, że są zamknięte od wewnątrz na skobel.

Chciałem wyjść i sprawdzić, czy nie ma innej drogi do domu.

Ale Hauer złapał mnie za rękaw i powiedział:

– To przecież żaden problem. Wystarczy tylko trochę pchnąć i ustąpią.

Alois poparł ten pomysł i we trójkę napaarliśmy na drzwi.

Po jakimś czasie rzeczywiście ustąpiły i weszliśmy do stodoły.

Wewnątrz panował mrok. Nieco światła dziennego wpadało jedynie przez otwarte drzwi w lewej ścianie stodoły, prowadzące do obory. Po prawej stronie leżało siano i pozostałe zapasy paszy. Wszędzie, z tyłu, przy ścianie, i z lewej strony widać było kupy siana. Tak naprawdę to niewiele dało się zobaczyć, bo było ciemno. Bardziej domyślaliśmy się, co tam mogło być.

Z sąsiedniej obory dochodziły coraz głośniejsze ryki zwierząt.

– Tam jest krowa! – Hauer pierwszy ją zobaczył. Krowa stała w drzwiach. W samym środku.

– Chodź, no chodźże! Musiała się zerwać z postronka.

Hauer podszedł do stojącego w drzwiach zwierzęcia. Nie przywykłem jeszcze do ciemności panującej w stodole. Czulem przejmującą grozę. Nie chciałem zostać sam. Dlatego poszedłem za Hauerem. Wydawało mi się, że Alois też czuł się nieswojo. Zrobił krok w stronę Hauera i nagle się potknął. Ledwo go złapałem.

Już miałem na końcu języka, żeby uważał jak łazi, kiedy zobaczyłem stopę wystającą ze słomy.

Alois złapał mnie za ramię. Dosłownie wczepił się we mnie.

Obaj stanęliśmy jak wryci nad kupą słomy. Żaden z nas się nie poruszył, ani Alois, ani ja. Po prostu staliśmy jak słupy soli.

Serce biło mi jak oszalałe. Myślałem, że zaraz wyskoczy z piersi. Ziemia usuwała mi się spod nóg. Ugięły się pode mną kolana. Z całej siły złapałem się Aloisa. A on mnie.

To było niewyobrażalne, nie do pojęcia.

Hauer odsunął słomę na bok. Odsłaniał jedno ciało po drugim. Dannerę, małą Mariannę, jej babkę, a na samym końcu jeszcze i Barbarę. Wszyscy byli unurzani we krwi.

Przeszedł mnie dreszcz. Nie mogłem na to patrzeć.

Wszystko wokół mnie było straszne. Jak w jakimś makabrycznym koszmarze. Czułem się tak, jakby jakiś ciężki „kloc”, leżący na piersiach, uniemożliwiał mi złapanie tchu.

Chciałem się stamtąd natychmiast wydostać. Uciec jak najdalej z tego miejsca. Od tego koszmaru.

Gdy odwróciłem się do wyjścia, drogę zagroził mi Hauer.

– Musimy jeszcze poszukać Józefa – krzyczał mi prosto w twarz. Ale odsunąłem go na bok. Hauer próbował mnie zatrzymać. – Musimy jeszcze poszukać malca. Gdzie jest chłopiec? Gdzie jest Józef?

Lecz ja po prostu go zostawiłem. Musiałem wyjść stamtąd. Na zewnątrz, na powietrze, by zaczerpnąć tchu.

Na dworze znalazłem Aloisa, stojącego przy szopie z maszynami. Był blady jak ściana. Podobnie jak ja. Nawet nie był w stanie utrzymać się na nogach. Przed domem oparł

się o ścianę i osunął na ziemię. Usiadłem tuż obok niego.

Jednak Hauer, który wyszedł za mną, naciskał na nas. Mówił, że powinniśmy spróbować dostać się przez stodołę do domu. Nie byłem w stanie. Byłem na granicy wytrzymałości. Drżałem na całym ciele. Ogarnęła mnie nieopisana niemoc. Odwaga całkiem mnie opuściła.

Hauer jednak nie popuścił. Nalegał na nas. Bardzo na nas naciskał.

– Musimy wejść do domu. Musimy zobaczyć, co się stało – powtarzał w kółko. My z Aloisem nie byliśmy jednak w stanie podnieść się z ziemi. W końcu Hauer sam wrócił do stodoły.

Stamtąd, jak nam później opowiedział, dostał się do domu.

Po paru minutach usłyszeliśmy, jak otwierają się drzwi frontowe.

Hauer znowu zażądał, żebyśmy weszli do środka. A że nie musieliśmy już więcej przechodzić przez stodołę, w końcu ustąpiliśmy pod jego naciskiem i weszliśmy do domu.

Na stole w kuchni stała szklanka. Wszystko sprawiało wrażenie, jakby ktoś przed chwilą opuścił to pomieszczenie. Jakby miał zaraz wrócić.

Rozejrzeliśmy się wkoło. Drzwi do sąsiedniej izby były lekko uchylone. Hauer otworzył je na całą szerokość. Znaleźliśmy tam martwe ciało kobiety, na wpół przykryte pierzyną. Wokół pełno było krwi.

Nie znałem tej kobiety. Nigdy jej dotąd nie widziałem.

Hauer znowu nalegał, żebyśmy przeszli przez cały dom i sprawdzili inne pomieszczenia.

W sypialni znaleźliśmy w końcu leżącego w łóżeczku malutkiego Józefa. On także był martwy.

Alois Huber, lat 25

Kto wie, gdybym się wtedy nie potknął, to może wcale byśmy ich tak szybko nie znaleźli. W

stodole nie było prawie światła. Światło dzienne wpadające przez otwarte drzwi obory do stodoły nic nie dawało. Prawie wcale nie rozjaśniało pomieszczenia.

Najpierw myślałem, że potknąłem się o jakiś pniak czy kawał drewna albo o jakiś większy przedmiot. Trochę to trwało, zanim do mnie dotarło, co to było.

Staliśmy ze Sterzerem, jakby nas замуrowało. Gdyby nie było z nami Hauera, za nic nie odgarnęlibyśmy słomy na bok. Myślę, że stalibyśmy tak do końca świata. Po prostu stalibyśmy, niezdolni wykonać żadnego ruchu.

Gdy zobaczyłem martwe ciała, zrobiło mi się niedobrze.

Nie, niełatwo wyprowadzić mnie z równowagi. Proszę mi wierzyć, niejedno widziałem w czasie wojny. Każdy, kto był na wojnie, widział wystarczająco dużo trupów, by mieć dość na całe życie.

Ale coś takiego, co z nimi zrobiono!

Przecież wszystkich ich znałem. Przecież to nie byli żadni obcy ludzie. To byli swoi, sąsiedzi, których spotykało się co dnia.

Nie mogłem na nich patrzeć. Wybiegłem ze stodoły i zwymiotowałem koło szopy z maszynami.

Wszystko inne odbywało się tak, jakby świat wokół stanął w miejscu. Czulem jedynie wstręt i zgrozę. Ten, kto to zrobił, nie był człowiekiem. To musiał być sam diabeł. To nie mógł być nikt miejscowy. U nas nie ma takich potworów.

Gdyby Hauer nie zmusił nas i nie pogonił, nigdy byśmy nie weszli do domu, żeby poszukać pozostałych. Nigdy w życiu.

Ale Hauer nalegał na nas. Poszliśmy więc za nim jak jagnięta na rzeź. Nie stracił

panowania nad sobą. Niewiarygodne, aż trudno w to uwierzyć. Nie stracił głowy jak my, ja i Sterzer. Był przy tym bardzo opanowany. Postępował bardzo rozważnie. A to on przecież najlepiej z nas wszystkich znał Dannera i jego rodzinę. Był dla nich niemal jak zięć. To przecież ojciec małego Józefa.

Na jego miejscu nie potrafiłbym tak się wziąć w garść. Nawet na moment nie stracił nerwów. Podziwiałem go za to opanowanie. Za tę zimną krew.

Ja też przeżyłem w życiu niejedno. Wtedy za Adolfa<sup>2</sup>. Wcielono mnie do wojska w wieku piętnastu lat. Wepchnięto nas w mundury, wciśnięto do ręki karabin i powiedziano, że mamy strzelać do wroga. Do wroga! Można pęknać ze śmiechu. Naszym wrogiem byli starzy ludzie i kobiety z dziećmi. I to do nich mieliśmy strzelać.

Stacjonowałem w Regenbergu. Wtedy Amerykanie otoczyli już całe miasto. Mówiono nam, że mamy się bronić do ostatniego żołnierza. Lepiej zginąć niż wpaść w ręce wroga. Co za głupota. Przecież i tak już wszystko było stracone.

Grupa starców i kobiet z dziećmi ciągnęła przez miasto. Chcieli, żeby poddać miasto bez walki. Zostali jedynie starcy i kobiety z dziećmi. Mężczyźni byli albo w wojsku, albo w niewoli.

Bonzowie partyjni szykowali się już do ucieczki. To były tchórzliwe kundle. Jeszcze musieliśmy im pomagać pakować kufry.

Chcieli tylko jednego – możliwie szybko zwiać. Wazniacy. A nas, piętnastoletnie dzieci, posłali na ulice. Mieliśmy strzelać do protestujących. Do starców, kobiet i dzieci. To do nich mieliśmy strzelać.

W tym całym zamieszaniu udało mi się uciec. Wyrzuciłem karabin i podążyłem w kierunku Dunaju. Ukryłem się w piwnicy spalonego domu. Wieczorem, pod osłoną ciemności, przepłynąłem rzekę. Jestem dobrym pływakiem.

Wtedy się bałem. Tak zwyczajnie się bałem. Bałem się o swoje życie.

Myślałem, że to najgorsza rzecz, jaką przyszło mi przeżyć.

Po drugiej stronie Dunaju, w Walch, jakaś stara kobieta ukrywała mnie przez trzy dni.

Ukrywała mnie do momentu wkroczenia Amerykanów do miasta.

Nie miałem nic. Dała mi rzeczy zmarłego męża.

Nosiłem przecież mundur Wehrmachtu. Gdyby Amerykanie znaleźli mnie w tym mundurze, wzięliby mnie do niewoli. A naziści z miejsca by mnie rozstrzelali albo powiesili jako zdrajcę ojczyzny, jako dezertera.

Z Walch do domu miałem tylko dwa kroki. Ale potrzebowałem niemal tygodnia, by wreszcie tam dotrzeć. Cały kraj był w rozsypce. Wszyscy dokądś szli. Widziałem ludzi w łachmanach, trupy i

wisielców.

2 chodzi o Adolfa Hitlera – przyp.tłum.

Ale takich potworności, jak w tym gospodarstwie, to jeszcze jak żyję nie widziałem.

Tak bestialskiego morderstwa.

Co to musiał być za potwór. Co za szaleniec.

Ale proszę mi powiedzieć, dlaczego również dzieci? Pytam panią, dlaczego te małe niewinne szkraby? Dlaczego one?

Ty, któryś łotrów na krzyżu wysłuchać raczył,

Ciebie prosimy, wysłuchaj nas, Panie!

Ty, któryś godnych litości wybrańców Swoimi szczęśliwymi uczynić raczył, Ciebie prosimy, wysłuchaj nas, Panie!

Ty, któryś dzierżył w Swoich dłoniach klucze śmierci i bram piekielnych, Ciebie prosimy, wysłuchaj nas, Panie!

Ty, któryś naszych rodziców, krewnych i dobroczyńców

od kary ognia piekielnego uwolnić raczył,

Ciebie prosimy, wysłuchaj nas, Panie!

Ty, któryś zapomniane przez wszystkich na tej ziemi dusze wiekuistą zapłatą nagrodzić raczył,

Ciebie prosimy, wysłuchaj nas, Panie!

Ty, któryś wszystkich nas przed grzechem śmiertelnym uchronić i wszystkim nam w swej dobroci przebaczyć raczył,

Ciebie prosimy, wysłuchaj nas, Panie!

Ty, któryś pragnących Ciebie wnet w służbie Twojej utwierdzić raczył, Ciebie prosimy, wysłuchaj nas, Panie!

Ty, któryś wybrańców Twoich do siebie przyjąć

i na wieki przy Sobie zachować raczył,

Ciebie prosimy, wysłuchaj nas, Panie!

Pomieszczenie zalewa przytłumione światło.

Nie potrafi powiedzieć czy zasłony są zaciągnięte, czy też nie. Widzi przed sobą wnętrze skąpane w mlecznej, połyskliwej bieli. Jasność prześwieca jakby przez cieniutki niczym mgła welon.

Widzi umeblowanie pomieszczenia. Ciężką komodę z trzema szufladami, z ciemnobrązowego dębu. Każda szuflada ma dwa mosiężne uchwyty. Matowe, wytarte od częstego używania. Szuflady trzeba wyciągać, łapiąc równocześnie za oba uchwyty. Tylko tak można je otworzyć. To ciężkie szuflady.

Nad komodą obraz. Anioł Stróż przeprowadzający dwójkę dzieci przez drewniany mostek. Dzieci idą ręką w rękę. Chłopczyk i dziewczynka. Pod mostkiem, w dolnym rogu obrazu, wartko płynący strumień. Anioł Stróż ubrany jest w białą fałdzistą szatę. Rozpościera opiekuńczo ramiona nad dziećmi. Prowadzi je boso nad dzikim potokiem. W tle zarys pasma gór. Na szczytach można rozpoznać biały śnieg.

Ramy obrazu są pozłacane. Gdzeniegdzie złoto zaczyna odpadać. Spod niego wyziera biała farba podkładu.

Wie, że po drugiej stronie pokoju stoi łóżko. Obok nocna szafka.

Oba meble z tego samego, ciemnobrązowego dębu.

Na nocnej szafce krzyż z konającym Chrystusem, a po lewej stronie lichtarz, w którym płoną świece.

Na łóżku leży dziewczynka. Niemalże dziecko. Oczy ma zamknięte. Twarz blada, prawie przezroczysta. Włosy splecione w warkocze sięgają pasa. Na czole mirtowy wianek.

Ręce ma złożone na piersi. W splecione dłonie ktoś wetknął krzyż. Może to była jego żona, a może kobieta myjąca ciało.

Dziewczynka ubrana jest w białą sukienkę. Białe pończochy. Na nogach ma tylko te pończochy. Jest bez butów. Jej ciało wydaje się wolno rozplýwać w świetle zalewającym pomieszczenie.

– Popatrz tylko, wygląda jak aniołek.

Słyszy głos kobiety. Swojej żony? Czuje, jak coraz bardziej zaciska mu się krtań.

Czuje mdłości podchodzące do gardła.

– To anioł. Czyż nie jest śliczna?

Wymioty niemal go dławią. Nie może złapać tchu.

Odwraca się. Pędzi do drzwi.

Ma wrażenie, że wyrwie je z zawiasów. Zbiega schodami w dół. Gna przez łąki i pola do lasu.

Tam pada na ziemię. Leży twarzą w wilgotnym mchu. Z każdym oddechem wchłania w siebie zapach lasu. Głęboko w jego wnętrzu narasta krzyk. Krzyk wydobywa się na zewnątrz. Wykrzykuje swe

zwątpienie. Krzyk nie ma w sobie nic ludzkiego. Jest rykiem śmiertelnie rannego zwierzęcia. Zwierzęcym rykiem zwątpienia.

Ten krzyk go budzi. Przytomnieje. Zlany potem, siada wyprostowany na łóżku.

Sen powtarza się noc w noc. Czasami na łóżku u jego boku leży zmarła żona. Innym razem w miejsce żony pojawia się dziewczynka. Albo mały chłopczyk.

Wstaje. Podchodzi do okna. Spogląda w zimną noc.

Maria Sterzer, lat 42, gospodyni z Górnego Tannödu

Jak mąż z Aloisem wrócili do domu, nie musieli mi nic mówić. Już patrząc na nich z daleka, wiedziałam. Widząc, jak się wloką, domyśliłam się, że musiało się stać coś strasznego. A jak już usiedli w izbie, tacy śmiertelnie bladzi, nabrałam całkowitej pewności. Na twarzach mieli wypisane nieszczęście i zgrozę. Co rusz, w każdą noc mąż budził się z okrzykiem przerażenia. Puste spojrzenia zmarłych nie dawały mu spokoju.

Nie mogę sobie wyobrazić, co się tam musiało dziać. Ale tak między Bogiem a prawdą to wcale mnie nie dziwi, że Danner nie umarł w łóżku.

Nie powinno się źle mówić o zmarłych. Dlatego niechętnie mówię o tych, co umarli.

Ale wie pani, żyjemy przecież w małej wsi. Tu każda plotka roznosi się lotem błyskawicy.

Dlatego lepiej za dużo nie mówić.

Powiem tylko tyle, że nie lubiłam tych odludków.

Chodzili własnymi drogami, stroniąc od ludzi. Szczególnie stary. Tak, to nie był dobry człowiek. Przy Dannerach każdy czuł się zawsze jakoś nieswojo. Ja też. Od czasu tej historii z Amelią ani razu się do nich nie odezwałam.

Amelia była bardzo miła. Przysłali im ją do pracy w gospodarstwie. Cudzoziemska robotnica. To było podczas wojny. Wtedy jeńcy wojenni i różni inni ludzie nie wiadomo skąd byli przydzielani do pracy w gospodarstwach. U nas pracował Francuz, Pierre.

Wszyscy mężczyźni byli na froncie. Poza Dannerem, który jakoś sobie załatwił, że go nie powołali do wojska. Miał wtedy specjalne układy z tymi z partii.

Mój mąż był w Wehrmachcie. Dlatego przydzielili nam Pierre'a. A Dannerom dostała się Amelia.

Było dokładnie powiedziane, jak traktować cudzoziemskich robotników. Mieliśmy szczegółowe przepisy. Trzymałam się ich, kiedy Pierre pracował u nas w gospodarstwie. Bóg mi świadkiem, że sama, jedynie z małymi dziećmi i teściową, nie dałabym sobie z tym wszystkim rady.

Mąż był na froncie, a potem w niewoli. Wrócił dopiero w czterdziestym siódmym.



Bogu niech będą dzięki, że wyszedł cało z tej strasznej wojny.

Pierre pracował chętnie na roli. Sam też miał gospodarstwo. Bez niego wszystko by zeszło na psy. Harował jak wół. Zupełnie jakby to była jego ziemia. Wspólnymi siłami całkiem nieźle dawaliśmy sobie radę. Sami mieliśmy niewiele, ale zawsze dzieliliśmy się z nim wszystkim, co było.

Jak ktoś tak ciężko pracuje, to musi być przyzwoicie traktowany. Przecież to też człowiek, a nie jakieś zwierzę. To samo powiedziałam prosto w twarz naszemu wójtowi, jak próbował mnie pouczać. Na co on rzucił tylko:

– Uważajcie no, Sterzerowa. Niejednego już powieszono za mniejsze przewinienia.

Kiedyś to nawet dostałam anonim. Grożono mi, że na mnie doniosą. Ale i tak robiłam to, co uważałam za stosowne. Nie dałam się zastraszyć.

Amelia nie miała życia u Dannerów. Traktowali ją bardzo źle. Od tych skąpiradeł nie dostawała prawie nic do jedzenia. A pracować musiała jak wół. Ponad siły.

Przy tym była bardzo drobna. Takie chuchro. I nie była ze wsi. Pochodziła z miasta. Z

Polski. Zdaje się, że z Warszawy. Dokładnie nie wiem.

Bardzo mi było żal tego biedactwa. Pierre przypuszczał, że Danner zgwałcił Amelię.

Musiał ją naprawdę prześladować i wykorzystywać, a nawet maltretować, bo nieraz pokazywała Pierrowi ogromne siniaki, płacząc.

Kiedyś to ją Danner nawet wychłostał na podwórzu. Dlatego że nie chciała mu dogodzić. Nie chciała się chędożyć, tak jak on tego od niej żądał. Na całym ciele miała krwawe pręgi.

Czy myśli pani, że Dannerka choćby raz się za nią wstawiła? Gdzie tam. Nie powiedziała ani słowa. Przeciwnie, sama na każdym kroku dręczyła, gnębiła i szykanowała jak mogła biedną Amelię.

Ale jak się kogoś przez całe życie źle traktuje, to w końcu nadchodzi taki moment, w którym maltretowany zaczyna się bronić. Czasami nawet sam rusza do ataku i oddaje.

Amelia nie mogła już tego dłużej wytrzymać. Nie mogła się bronić ani uciec, więc się powiesiła. Biedna dziewczyna. Odebrała sobie życie w stodole. W tej samej stodole, gdzie teraz znaleźli Dannera z całą rodziną.

Czy to nie dziwne?

Potem Danner z pomocą wójta wszystko zatuszował.

Amelia bardzo podobała się Pierrowi. Często nosił jej po kryjomu jedzenie. Nie mogliśmy dać jej za wiele. Skórki chleba, trochę owoców i jarzyn. Od czasu do czasu kawałek kiełbasy. Pierre dawał jej to wszystko potajemnie. Pewnego razu, jak już nie mogła wytrzymać tego znęcania się nad nią,

opowiedziała Pierrowi o swoim bracie. Jak tylko skończy się wojna, mówiła, będzie jej z pewnością szukał. Wierzyła, że ją odnajdzie. Wtedy opowie mu wszystko o Dannerach. Opowie mu, jak strasznie ją traktowali, jak się nad nią znęcali, jak stary bez przerwy ją gwałcił, jak się nad nią pastwił. Opowie, jak ją brał kiedy chciał i co z nią wyprawiał. To było takie okropne, że nie była w stanie powiedzieć o tym nawet Pierrowi. Płakała i płakała, nie mogąc się uspokoić. Pierre opowiedział mi o wszystkim.

Nie byłam wówczas pewna, czy Pierre wszystko dobrze zrozumiał, gdyż mówił tylko po francusku i gorzej niż źle po niemiecku.

Ale ta historia nie może mi wyjść z głowy od czasu, gdy znaleziono ich martwych. I to akurat w tej stodole. Kto wie, może to właśnie brat Amelii przyszedł i zemścił się na Dannerach za krzywdę siostry.

Nie byłby pierwszym. Byli już tacy, co się mścili na swoich oprawcach. Co rusz słyszy się o karzącej ręce sprawiedliwości. A ci tam mieli wystarczająco dużo na sumieniu, by sobie zasłużyć na czyjąś zemstę. Sporo brudów do ukrycia. W złych czasach napotyka się wielu złych ludzi.

Franciszek-Ksawery Meier, lat 47, wójt

Hauer Jasiak przyszedł do mnie gdzieś tak koło piątej. Cały roztrzęsiony.

U Dannerów wszystkich pozabijano, krzyczał.

Wszystkich zamordowano.

Wykrzykiwał w kółko:

– Wszystkich zabito. Nikt nie żyje.

Chciał, bym od razu dzwonił na policję. Naturalnie, że natychmiast zadzwoniłem.

Potem wzięłem auto i pojechałem z Jaśkiem do gospodarstwa Dannerów. Tam spotkałem Georga Hauera – ojca Jaśka, Johanna Sterzera oraz jego przyszłego zięcia Aloisa Hubera, który pracował u Sterzerów jako parobek.

Po krótkiej rozmowie z nimi trzema zrezygnowałem z obchodu miejsca zbrodni.

Niedługo potem pojawili się tam policjanci, więc uznałem, że moja obecność nie jest już konieczna. Nic więcej nie mogę powiedzieć na temat tej strasznej zbrodni.

Oczywiście, że byłem zaszokowany. To nie ulega kwestii. Ale wyjaśnienie całej tej sprawy to nie moje zadanie, tylko właściwych organów – w tym przypadku policji.

Dokładnie to samo, niemalże w tych samych słowach, powiedziałem dziennikarzom z gazety.

No niechże pani znowu nie zaczyna wyciągać tej historii z cudzoziemską robotnicą.

Na ten temat nie mam nic, naprawdę nic, do powiedzenia. Dokumenty w tej sprawie niestety zaginęły w czterdziestym piątym. Gdyby żył mój poprzednik, to zapewne mógłby pani powiedzieć coś więcej.

W tym czasie byłem w niewoli francuskiej.

Jak w czterdziestym piątym przyszli tu Amerykanie, by nas oswobodzić, nie było mnie jeszcze w domu. Wtedy zakwaterowali się u ówczesnego wójta i w urzędzie gminnym. Zajęli domy, robiąc sobie z nich tymczasowe kwatery. Jak się wynieśli, wszystko było zniszczone i spustoszone.

Zachowywali się jak wandale. W ogrodach strzelali z pistoletów do porcelanowych talerzy. Nazywali to „Tap shooting”. Pani nawet nie jest w stanie wyobrazić sobie tego, co tu się działo. Po ich odejściu wszystko było spustoszone, zdewastowane. Nie do użytku. A to, co jeszcze nadawało się do czegoś, zostało zabrane przez jaśnie panów wyzwolicieli.

Również większość dokumentów sprzed czasów klęski została poniszczona. Powstały przez to ogromne szkody. Może mi pani wierzyć na słowo.

Z tego też powodu nie jestem w stanie powiedzieć pani zbyt dużo o przyczynach, które doprowadziły do śmierci tej cudzoziemskiej robotnicy.

Z tego co wiem, to ta dziewczyna przydzielona do rodziny Dannerów się powiesiła.

Została pochowana tu, na miejscu.

Wówczas wszędzie było pełno cudzoziemskich robotników. My również, jako jeńcy wojenni, pracowaliśmy we Francji.

Czy myśli pani, że zawsze nas tam dobrze traktowano? A przecież się nie powiesiłem.

Zupełnie nie rozumiem, jaki to ma związek z tym okropnym zabójstwem rodziny Dannerów. To przecież próba ponownego odgrzebywania starych historii. Czy pani nie wie, że są ludzie, którzy wciąż, nie wiedząc po co, wracają do tamtych spraw? Wojna skończyła się już dziesięć lat temu. Dajmy spokój tamtym czasom. Były wystarczająco złe.

Wszyscy cierpieliśmy. Każdy musi nieść swój krzyż. I niezależnie od tego, jak sobie z nim radzi, ziemia nadal się obraca. Czasy się zmieniają. I roztrząsanie co by było gdyby, nic tu nie da. Nie przyniesie niczego dobrego.

Naturalnie, że była niesprawiedliwość. Naturalnie, że były chwile wątplenia. Któż z nas ich nie miał. Ale wojna się skończyła. Minęło niemal dziesięć lat. I powinniśmy wreszcie zacząć zapominać.

Sam byłem podczas wojny w niewoli. Nie było łatwo, może mi pani wierzyć. Ale miałem szczęście, że udało mi się wrócić zaraz po skończeniu wojny. Inni nie mieli tyle szczęścia. Ale co to dziś da takie rozpamiętywanie? Co było, minęło. I tyle.

Przecież mamy wystarczająco dużo innych problemów. Wszystko powoli zaczyna się jakoś układać. Nie czyta pani gazet?

Niech no tylko pani spojrzy na sytuację na świecie. Chwilowo, po zakończeniu wojny w Korei, napięcie trochę zelżało. Nasz strach przed wybuchem kolejnej wojny trochę zmalał.

Ale powiem pani, że komuniści w Rosji nie zostawią nas w spokoju. Jakoś mi się nie chce wierzyć, żeby ten cały Chruszczow był lepszy od swojego poprzednika!

Dobrze, że ostatni jeńcy wojenni wracają wreszcie do domu. Po niemal dziesięciu latach. Ale to nic nie zmienia. Zupełnie nic, jeśli chodzi o drżące niebezpieczeństwo grożące ze wschodu. Dlatego tak ważne było podpisanie traktatów paryskich<sup>3</sup>.

3 traktaty z 1947 i 1951 roku, podpisane przez członków koalicji antyhitlerowskiej – przyp.tłum.

Musimy utworzyć przeciwny biegun. Również, a właściwie głównie dlatego, że po wojnie zmienił się świat.

Ten rozdział, że się tak wyrażę, jest już definitywnie odłożony ad acta.

Niech pani nie słucha całej tej bzdurnej gadaniny. Mogę się domyślać, skąd się pani o tym dowiedziała.

Czy jesteśmy na tyle bez grzechu, żeby móc pokazywać palcem na drugiego? Nie chciałbym nikogo osądzać, ale słyszy się to i owo.

Jak mąż jest na froncie i walczy w obronie ojczyzny, to żona pada na wznak, żeby się gzić z Francuzem. On tam nadstawia karku za ojczyznę, a ona tu brata się z wrogiem.

Wróg pozostanie wrogiem. Zawsze tak było. Ale tę starą prawdę nie każdy chce przyjąć do wiadomości.

Niechże pani wreszcie przestanie. Gdy oczernia się szanowanych obywateli, cała społeczność wiejska staje za nimi, współczując im. I po co ten zamęt wokół jakiejś polskiej półzydówki, która się powiesiła. Dziewczyna była po prostu słaba psychicznie, ot co.

A doszukiwanie się teraz, po latach, związku z tą starą sprawą uważam za więcej niż dziwne. To nie posunie nas nawet o krok do przodu. Trzymajmy się z daleka od plotek.

Spekulacje, obojętnie jakiego rodzaju, nic nie wniosą do sprawy.

Zwłaszcza w przypadku tak okrutnej zbrodni. A teraz proszę mi wybaczyć...

Miłosierny Królu wszystkich radości świata tego,

Synu Boży, Jezu Chryste,

Baranku Boży, który gładzisz grzechy

świata,

racz im dać odpoczywanie w pokoju!

Baranku Boży, który gładzisz grzechy

świata,

racz im dać odpoczywanie w pokoju!

Baranku Boży, który gładzisz grzechy

świata,

racz im dać wieczne odpoczywanie w pokoju!

Anna Hierl, lat 24, dawna służąca Dannerów

Zaskoczona? Właściwie to można się było tego spodziewać. Nie, nie byłam zaskoczona.

Wstrząśnięta tak, ale nie zaskoczona. Znałam ich wszystkich. Przez jakiś czas żyłam przecież z nimi pod jednym dachem. Ale zdziwić, to mnie to nie zdziwiło. Tak po prawdzie, to chyba się czegoś takiego spodziewałam.

Czy wie pani, że Danner chętnie zatrudniał przy żniwach różnych włóczęgów?

Dlaczego? Bo mógł im mniej płacić, ot co. To przecież jasne jak słońce. Ktoś, kto ma coś na sumieniu i omija policję szerokim łukiem, gotów jest pracować za grosze.

Taki to się cieszy, że ma choćby dach nad głową i coś ciepłego do zjedzenia. A Danner był zadowolony, że nie musiał im prawie nic płacić. Cały stary Danner. Cwany, chytry chłop.

Jednemu takiemu złodziejaskowi to nawet pokazał całe obejście. Nie mogę tego pojąć. Oprowadzał go po wszystkich kątach, puszając się przy tym jak kogut. Kroczył wyniośle z dumnie wypiętą pierśią, wyprostowany jakby kij połknął.

Z takimi łachmytami łaził po domu i obejściu.

Pokazywał im wszystkie maszyny. Nic więc dziwnego, że taki potem znikał po kilku dniach wraz z czymś, co do niego nie należało.

Jak w gospodarstwie pojawiał się jakiś szubienicznik, zawsze zamykałam swoją izbę na cztery spusty.

Jednego razu też przyplątał się taki jeden. Zdaje się, że miał na imię Karl. Tak, Karl, jestem pewna, że Karl. Żaden z tych ptaszków nie podawał nazwiska.

Można się domyślać dlaczego.

Karl pomagał staremu przy drewnie w lesie.

To było jakoś tak w zeszłym roku w lipcu, zaraz po tej strasznej burzy.

Coś trzeba było zrobić z drzewami powalonymi przez wicher. To paskudna, ciężka praca. Niejednego przy tej robocie przywaliło drzewo. Kilku straciło nogę. Po takim huraganie drzewa leżą jedne na drugich. Czasami wydaje się w tej całej plątaninie, że jeszcze stoją, ale jak się je tylko ruszy, walą się z trzaskiem, pękając.

Niecały tydzień później Karl zniknął. Przepadł bez śladu, a wraz z nim parę kurcząt, ubrania i buty.

Miarka się przebrała, jak pod koniec roku chciano włamać się do domu. Wtedy poszukałam sobie nowego miejsca.

Co się wtedy wydarzyło? W tym dniu nie było mnie w gospodarstwie. O wszystkim dowiedziałam się dzień później od Barbary, córki Dannera. Byłam u ciotki w Endlfeldzie.

Odwiedziłam ją, bo była chora.

To się stało w niedzielę. Proszę sobie tylko wyobrazić – w niedzielę! Gdy bogobojni ludzie są w kościele. Tej niedzieli, zaraz po nabożeństwie, poszłam do ciotki. Barbara z rodziną chodziła zawsze po kościele na cmentarz, a potem szła do domu.

Jak wrócili i chcieli wejść do domu, zobaczyli, że ktoś próbował wyważyć drzwi wejściowe. Ślady włamania były wyraźnie widoczne, gdyż wszędzie pełno było zadrapań.

Zupełnie jakby ktoś użył żelaznego łomu. To prawdziwy cud, że temu lumpowi nie udało się otworzyć drzwi.

Widocznie coś mu w tym przeszkodziło i dał drapak. Czmychnął jak nic.

Specjalnie mnie to nie zdziwiło, bo każdy z tych łotrów pracujących w gospodarstwie wiedział, że u Dannera jest co ukraść.

I to nie tylko kurczęta. On miał zawsze w domu kupę pieniędzy. O tym wiedział każdy pracujący u Dannera.

Jak już mówiłam, od tego czasu nie pojawiałam się więcej w gospodarstwie.

Bałam się, że włamywacz znowu spróbuje. Tym razem w nocy. Codziennie słyszy się przecież o takich przypadkach.

Ten dom leży na takim pustkowiu. Kompletne odludzie.

A zimą nie mieszkałabym tam za żadne skarby. Zmrok zapada tam już o wpół do czwartej, a o czwartej jest całkiem ciemno. Nic nie widać i nie słychać. Spakowałam więc tych trochę rzeczy, które miałam, i poszłam sobie. Od razu znalazłam nowe miejsce.

Gdybym wówczas nie odeszła, kto wie, może bym dziś już nie żyła. Mogło przecież trafić i na mnie. Nie, dziękuję. Zamierzam jeszcze długo żyć. Za bardzo kocham życie.

Poza tym ciężko było wytrzymać z Dannerem i całą tą jego rodziną. Wiem też, co się o nich mówi. Ludzie mówili, że Danner był niemiłym dziwakiem. On i ta jego rodzina.

Być może. Ale mnie to nie obchodziło. Robiłam, co do mnie należało. A jak miałam wolne, chodziłam na tańce albo odwiedzałam krewnych.

Praca jak to praca. Robić trzeba wszędzie. Nie płacą człowiekowi za zbijanie bąków.

Na służbie trzeba się wystarczająco narobić. Ale ja się roboty nie boję. Pracuję chętnie. A jak mam wolne, to patrzę, żeby gdzieś wyjść.

Danner nigdy mnie nie napastował. Na coś takiego nie mógłby sobie pozwolić względem mnie. Proszę mi wierzyć, zaraz bym mu pokazała gdzie jego miejsce. Ja tam nie dam sobie w kaszę dmuchać.

Jakie były stosunki pomiędzy nim a córką, Barbarą?

Domyślam się, co chciałaby pani ode mnie usłyszeć.

Ale ja nic nie wiem. Nic nie mogę powiedzieć. Zresztą, co mnie to obchodzi. Poza tym nie byłam przecież długo u Dannerów. Przyszłam na wiosnę, a odeszłam przed końcem roku.

Czy Barbara sypiała z ojcem, jak niektórzy twierdzą? Przysiąc nie mogę.

Ludzie dużo gadają. Mogę mówić jedynie o tym, co widziałam na własne oczy. A widziałam ich razem tylko raz. W stodole. Ale i to jeszcze niczego nie dowodziło.

Weszłam, a oni leżeli na sianie. Kiedy Barbara mnie zobaczyła, podskoczyła jak oparzona. I gdyby się tak nie poderwała, wcale bym ich nie dostrzegła.

Udałam, że niczego nie zauważyłam. Zresztą niczego nie widziałam. Niczego niezwykłego.

Wie pani, to nie mój interes. Czy to ja jestem księdzem albo sędzią? Co mnie to obchodzi?

Barbarze było potem bardzo głupio. Powiedziała, że gdyby wiedziała, że jeszcze raz przyjdę do stodoły, wcale by tam nie wchodziła.

Czy sądzę, że to dzieci jej ojca? A co mnie pani pyta o takie rzeczy!

Jeśli mam być szczerą, to w to wierzę, ale rzecz jasna, pewności nie mam. Bo niby skąd. Nie było mnie przy tym. Ale słyszałam na własne uszy, jak Danner powiedział Karlowi, temu włóczędze, że jego córka nie potrzebuje żadnego chłopca, bo ma przecież jego.

To było wtedy, gdy Karl pytał o Spanglera, męża Barbary. Gdzie on jest? Może Karl chciał się z nią

związać. A toby dopiero wpadł. Po same uszy.

Barbara była zadbana i dumna. Zupełnie jak ojciec.

Dannerowa, matka Barbary, była bardzo małomówna.

Niektórzy mówili, że była mrukliwa i zrzędliva. Ale to nieprawda. Była znękana i rozczarowana życiem.

Troszczyła się jedynie o wnuki. No i gotowała. Wieczorami zawsze siadywała w izbie z modlitewnikiem w ręce. To była bardzo stara, bardzo zniszczona i niemal rozpadająca się książeczka do nabożeństwa. Siedziała tak nieruchomo z tym modlitewnikiem, mamrocząc coś pod nosem.

Stara Dannerowa tylko raz wspomniała, że mąż jej córki to prawdziwy hulaka i że wywędrował do Ameryki.

Pieniądze na podróż dostał od starego Dannera. Pamiętam do dziś, jak się zdziwiłam, że stara mi coś takiego powiedziała, gdyż normalnie prawie się nie odzywała.

Tak sobie siedziała i nagle zaczęła mówić. Na początku nawet się nie zorientowałam, że do mnie mówi. Mówiła tak cicho, że sądziłam, iż się modli. Mówiąc, nie patrzyła nikomu w oczy.

Jedynie wnukom. Dla nich była naprawdę kochającą babcią. Sądzę, że wnuki były jedyną radością jej życia. Marianna i Józef.

Powiedzieć można, że słodkiego życia z tym swoim mężem to ona z pewnością nie miała.

Była o wiele starsza od Dannera. A on z pewnością ożenił się z nią jedynie z powodu jej majątku. Bo gospodarstwo należało do niej. Danner się w nie wżenił, i tyle. Czasami myślę, że się go bała. W przeciwnym razie nie trzymałaby przez całe życie buzi na kłódkę.

Musiała się bać męża. On zawsze był w złym nastroju. Bywały dni, że nie odezwał się do żony ani jednym dobrym słowem. Wrzeszczał jedynie na nią, a ona aż się cała kuliła od tego krzyku. Lecz ani razu nie podniosła na niego głosu. Nigdy. Nawet wtedy, gdy rąbnął

jedzeniem o podłogę tylko dlatego, że jej „wieczne klepanie pacierzy” działało mu na nerwy.

Ręką zmiotł talerz ze stołu, tak że jedzenie rozbryzgało się po całym pomieszczeniu. A ona, Dannerowa, jedynie wstała i bez słowa wszystko posprzątała. Wyglądała wtedy jak zbity pies.

Barbara była niemym świadkiem wszystkiego. Ja bym czegoś takiego nie zniosła.

Z pewnością chce pani również usłyszeć tę historię o Hauerze. Mam rację, prawda? Od razu sobie pomyślałam.

Taak, Hauer to najbliższy sąsiad. Jego gospodarstwo widać z okna na poddaszu.



Patrząc stamtąd, można zobaczyć dom Hauera. Jego zagroda leży dokładnie naprzeciw, po drugiej stronie łąki. To ładne obejście. Dom z ogrodem, otoczony polami.

Na piechotę, jak się szybko idzie, będzie do niego jakieś dziesięć minut drogi. Ale nigdy tego nie sprawdzałam z zegarkiem w ręku.

Jak mówiłam, z poddasza można zobaczyć jego dom. Ale tylko z poddasza. A tak to nie.

Hauer był bardzo za Barbarą. Biegał za nią jak oszalały. Mały to jego dziecko.

Przynajmniej jest on zapisany jako ojciec.

No tak, w urzędzie stanu cywilnego wpisany jest w metryce jako ojciec dziecka.

Mąż Barbary odszedł zaraz po ślubie. Marianny jeszcze wtedy nie było na świecie.

Wiem to od Hauera. Z dnia na dzień rozpląnął się w sianej dali. Przynajmniej tak mi powiedział Hauer. U Dannerów nic się na ten temat nie mówiło.

Żona Hauera zmarła przed trzema laty. Umierała długo, bardzo cierpiąc. Opowiadał mi o tym.

Ale też słyszałam o jej śmierci od ludzi ze wsi.

Miała raka i musiała naprawdę długo cierpieć.

Tyle co żona zmarła, Hauer związał się z Barbarą. Początkowo nie widziała za nim świata. Tuż po śmierci żony latała za nim jak wściekła, bardzo mu się narzucając i zabiegając o niego.

Nie wiem, czy to prawda. Hauer nie wygląda na zbyt wybrednego.

Ale powtarzam tylko to, co usłyszałam. Hauer wiele mówi, gdy wypije o jedno piwo za dużo.

Barbara musiała zajść w ciążę zaraz po tym, jak się z nim związała. Tuż po urodzeniu chłopczyka, Józefa, stwierdziła nagle, że nie chce więcej widzieć Hauera. Ludzie mówią, że ojciec zmusił ją do zerwania z nim. Hauer ponoć nawet chciał złożyć doniesienie na Barbarę i jej ojca, żeby wywlec na światło dzienne ich związek. To przecież grzech śmiertelny. Coś takiego jest wbrew naturze.

Ale Hauer opowiadał mi tę historię kompletnie pijany. To było na odpuście. Wtedy też opowiedział mi całe swoje życie. Mówił o dobrych dniach i o nieszczęściach, które go spotkały.

Nie słuchałam tak dokładnie tej niekończącej się gadaniny. Większości tego pijackiego bełkotu nawet nie rozumiałam.

Lecz raz faktycznie sama byłam świadkiem, jak Danner okłamał Hauera, że córki nie ma w domu. Ukrył ją przed nim. Powiedział mu prosto w oczy, że Barbara wyszła, chociaż siedziała w izbie.

Jeśli chce pani dowiedzieć się czegoś więcej, musi pani sama porozmawiać z Hauerem. Ja nie chcę

nie więcej mówić, bo z tego powstają jedynie niepotrzebne plotki.

Jeśli nie ma już pani do mnie żadnych pytań, to idę do roboty. Jak mówiłam, nie płacą mi za zbijanie bąków.

Nastał wieczór. Wszyscy już poszli do łóżek.

Jego syn Jasiek, szwagierka Anna. Będzie już sześć lat, jak Anna przybyła do jego domu. Wówczas były już widoczne pierwsze symptomy choroby jego żony. Żona nie była w stanie zajmować się więcej domem ani gospodarstwem. Powoli, krok po kroku, prowadzenie domu przejmowała Anna. Ona też troszczyła się o Jaśka jak o własnego syna.

Pielęgnowała z oddaniem ciężko chorą siostrę, leżącą w łóżku, na górze w sypialni.

Jego szwagierka Anna była z siostrą, jego żoną, aż do śmierci. Myła ją i karmiła. Opiekowała się nią przez cały dzień. Była przy niej aż do samego końca. Gdy cierpienie żony stało się dla niego nie do zniesienia, jego miejsce w małżeńskiej sypialni zajęła Anna. Była z nią dzień i noc. Przynosiła ulgę w cierpieniu. Pocieszała.

W tym czasie nie był nawet w stanie być w pobliżu żony. Nie mógł patrzeć, jak marniała. To było ponad jego siły. Nie był w stanie nic dla niej zrobić. Nie mógł jej pomóc, nie mógł być z nią „na dobre i na złe”, jak mu to nakazywał małżeński obowiązek.

Łapał się na tym, że chciałby, żeby to cierpienie wreszcie się skończyło. Pragnął, by wreszcie umarła. Jej spojrzenie, jej męka, sprawiały mu ogromny ból. Nie mógł już znieść woni choroby i śmierci, otulającej ją jak płaszcz. Nie potrafił znieść widoku jej ciała, tak bardzo wychudzonego, tak przerażająco wyniszczonego.

Znikał z domu, kiedy tylko się dało. Nawet w dniu jej śmierci cały dzień przebywał

poza domem. Wszedł, jak tylko skończył robotę. Włóczył się po lesie. Całą wieczność przesiedział na kamieniu. Robił wszystko, byle tylko nie wracać do domu. Tam się dusił.

Chciał uciec od tej przytłaczającej go ciasnoty. Nie chciał patrzeć na gasnące życie. Nie chciał uświadamiać sobie w obliczu śmierci własnej doczesności.

Gdy Anna przyniosła mu wiadomość, że żona zmarła, odczuł ulgę. Nie było w nim żalu. Był

rad, że się to skończyło. Spadł przygniatający go kamień. Mógł znowu zacząć żyć. Poczł się wolny. Wolny jak ptak.

Nikt nie potrafił go zrozumieć.

Nie minął nawet miesiąc żałoby, gdy związał się z Barbarą. Nie odczuwał z tego powodu ani wstydu, ani winy. Był wolny. Po raz pierwszy, a może i jedyny raz w życiu, czuł

się naprawdę wolny.

Najpierw zdziwiło go zainteresowanie Barbary jego osobą. Wątpił w prawdziwość jej uczuć do niego. Jej gotowość, z jaką mu się oddawała, wywoływała powątpiewanie i niepewność w jego sercu. Ale też wyzwalała w nim coraz większe pożądanie. Powodowała coraz większe pragnienie jej ciała.

Kobiece ciało wolne od odoru śmierci, wolne od bólu i cierpienia. Kobiece ciało pełne zapachu życia, pełne pożądania i chęci istnienia. Poddał się mu w całej pełni. Pograżył się cały w namiętności.

Było mu wszystko jedno, co sądzą inni, czy uważają jego zachowanie za odrażające i niemoralne. Znalazł Barbarę. Znalazł coś, czego mu do tej pory wzbraniało życie. I to nie tylko w ostatnich latach jego małżeństwa.

Jego małżeństwo zawsze było jedynie związkiem z rozsądku, związkiem dwojga ludzi o równym statusie majątkowym. Zaaranżowany ślub to zwyczajna rzecz wśród majątnych chłopów. „Miłość przychodzi z czasem. Najważniejsze to trzymać się razem w kupie”.

Po chwilowym lęku przed siłą własnego pożądania, narastającego gdy tylko Barbara była z nim, oddał się bez zahamowań swojej żądzy, na nic już nie zważając.

Gdy Barbara mu oznajmiła, że jest w ciąży, nie posiadał się ze szczęścia. Potem z wolna zaczął narastać w nim niepokój.

Jej zachowanie względem niego uległo zmianie. Coraz częściej odmawiała mu siebie.

Jej namiętność przemieniła się w ledwie skrywaną wzdargę. Gdy przychodził do Dannerów, by się z nią rozmówić, ukrywała się przed nim.

Ale dla niego nie było już powrotu. Za bardzo się zmienił. Popadł w nieznaną mu wcześniej zależność. Zadurzył się.

Znał plotki krążące po wsi. Ale hardo oświadczał każdemu, obojętnie czy chciał tego słuchać, czy nie, że dziecko jest jego. Jego syn, Józef. W urzędzie stanu cywilnego wpisano go do aktu urodzenia jako ojca. Był ojcem dziecka i tego twardo się trzymał, jak tonący rzuconej mu liny.

Józef był jego synkiem. I ten jego chłopczyk był teraz martwy. Zabity. Nie mógł

zapomnieć widoku dziecka. Ciągle miał przed sobą obraz martwego malca z szeroko rozwartymi oczyma. W dzień i w nocy.

Anna Meier, sklepikarka, lat 55

To nieszczęście jest wręcz niewyobrażalne. Po prostu straszne.

Od tego czasu we wsi wszyscy się boją. Każdy się boi. Kto mógł zrobić coś tak okropnego?

Któż mógł tak zwyczajnie przyjść i zadźgać ludzi w ich własnym domu? A najgorsze ze wszystkiego

to zamordowanie dzieci. Ten, kto coś takiego uczynił, musiał być nienormalny. Kompletny wariat. Czegoś takiego nie zrobiłby żaden człowiek przy zdrowych zmysłach. Nie, czegoś takiego nie robi żaden normalny człowiek.

Na pogrzeb przyszli wszyscy. Cały cmentarz był pełen ludzi. Jeszcze nigdy nie widziałam tylu ludzi na żadnym pogrzebie. Przybyli zewsząd. Wielu twarzy nie znałam. A przecież do mojego sklepu przychodzą ludzie z całej okolicy. Wszyscy kupują u mnie. Lecz na cmentarzu byli tacy, których nigdy wcześniej nie widziałam.

Przyjechali z innych okolic. Przybyli jak na jarmark albo na festyn. Rozglądali się i gapili. Dlatego tylko, że w gazecie napisano: „skąpana we krwi wieś”.

Tak stało w gazecie – „skąpana we krwi wieś”. Ten z gazety to przyszedł nawet do mnie do sklepu, żeby się powypytywać. Łaził po całej wsi. A potem napisał tę okropną historię pod tytułem „Skąpana we krwi wieś”. Na cmentarz przyjechali nawet z miasta.

Okropne. Po prostu straszne.

Kiedy ostatni raz widziałam Barbarę Spangler? Niech no pani poczeka. Dokładnie na tydzień przed śmiercią. W piątek. Była u mnie w sklepie i kupiła parę drobiazgów. Przy okazji zapytałam, czy znaleźli już nową służącą, gdyż miałabym dla nich jedną pracowitą dziewczynę.

Na to Barbara powiedziała mi, żebym zapytała, czy nie mogłaby zacząć u nich od zaraz, na świętego Józefa.

Od razu dałam znać Gertrudzie Krieger.

Cały czas robię sobie wyrzuty z tego powodu. Ale skąd mogłam przypuszczać, że w nocy wszystkich ich wymordują.

Dziś to wcale nie takie proste znaleźć odpowiedzialną służącą, na której można polegać. Nic nie jest już tak jak przed wojną.

Wszystkie młode dziewczyny ciągną teraz do miasta, do fabryki. Nie chcą siedzieć na wsi i służyć gospodarzom. Poza tym w fabryce zarabiają o wiele więcej niż na roli. I nie potrzebują brudzić sobie tak bardzo rąk. Nic już nie jest jak dawniej.

Barbara kupiła, co jej było potrzeba, i wyszła ze sklepu. Jak zwykle.

Czy wiem coś o włamaniu do ich domu? Nie, naprawdę nic mi nie wiadomo. Raz, jesienią, Barbara mi powiedziała, że jakoby ktoś się chciał do nich włamać. Ale to było dawno temu. Zresztą mówiła, że niczego nie ukradziono.

To było powodem odejścia Anny. Anna służyła u nich wcześniej. Zimą jakoś sobie radzili sami, bez służącej. Zimą w gospodarstwie jest mniej do roboty. Barbara powiedziała mi jeszcze, że ktoś im od czasu do czasu pomagał.

Ale nie dopytywałam się kto to taki. U nich w gospodarstwie często widać było obcych. Zazwyczaj odchodzili po krótkim czasie.

Z pewnością ich nie meldowali.

Lubiłam Barbarę. Nic nie wiem o historiach, które o niej opowiadano. Nic mnie to nie obchodzi. Mam za dużo roboty, by zajmować się plotkami. Zresztą, czego to ludzie nie mówią?

Takimi historiami, co się słyszy, można by zapisać całe książki. Ale mnie to, niech mi pani wierzy, nic a nic nie obchodzi.

Dużo się gadało o Barbarze i jej ojcu, ale nikt niczego tak naprawdę nie wiedział.

Zresztą nikogo przy tym nie było.

A jak urodziła małego, to może sobie pani wyobrazić, że cała wieś aż wrzała od plotek. Ludzie natychmiast wzięli ją na języki.

A jak wyszło na jaw, że Hauer jest ojcem dziecka, to się dopiero zaczęło. Wyzwiska typu „wywłoką” i „zdzira” należały do najłagodniejszych, którymi obrzucano Barbarę.

Słuchałam tych plotek i zaraz o nich zapomniałam. Ta gadanina wchodziła mi jednym uchem i wychodziła drugim.

Nie przypominam sobie dokładnie Wincenta, męża Barbary. Ale pamiętam, że on zupełnie się nie nadawał do gospodarstwa. Nic a nic. Zresztą nie zabawiał tam zbyt długo. Z

tego co wiem, miał dwie lewe ręce do roboty. A do Dannerów pasował jak garbaty do ściany.

O Dannerze można mówić wszystko, co tylko się chce. Ale jednemu nie można zaprzeczyć: jest bardzo pracowity. To prawdziwy gospodarz trzymający wszystko mocno w garści. Trzeba też przyznać, że to prawdziwy oryginał.

Sądzę, że bardzo się przyczynił do zniknięcia Wincenta. Mówiono, że zapłacił mu za to, żeby się wyniósł. Ale to znowu tylko plotki.

Faktem jednak jest, że Wincent zniknął z dnia na dzień. Niektórzy powiadają, że wywędrował do Ameryki. Ale trudno mi w to uwierzyć. On będzie gdzieś na wschodzie.

Pochodził przecież ze wschodu. Przywędrował w te strony tuż po wojnie w czterdziestym piątym jako uciekinier. Zakwaterowano go w gospodarstwie Dannerów.

Ale nie zabawiał tam nawet roku. On się nie nadawał do gospodarstwa. Ani trochę.

Ależ to straszne, że wszystko musiało się tak skończyć. Okropne. Cały dzień myślę tylko o tym. Nie może mi to wyjść z głowy. Ciągłe zadaję sobie pytanie, kto mógł coś takiego zrobić. Kto, pytam panią? Co to za człowiek? Nie, to nie mógł być człowiek, to jakieś bydlę.

# POGRZEB OFIAR MORDU W GOSPODARSTWIE W TANNÖD.

MOTYWY ZBRODNI NADAL NIEZNANE,

ŻADNYCH ŚLADÓW SPRAWCÓW

Einhausen. W Tannöd, w gminie Einhausen, z udziałem licznej rzeszy ludności pochowano w poniedziałek zamordowaną rodzinę Dannerów. Ciała wszystkich ofiar odnaleziono w leżącym na pustkowiu gospodarstwie.

Podczas ceremonii pogrzebowej z udziałem ponad 400 żałobników proboszcz Hans-Georg Meißner powiedział, że czyn ten nasuwa cały szereg bolesnych pytań.

– Pograżamy się w smutku i żałobie. Stoimy nad otwartym grobem bezradni w obliczu tego potwornego czynu – stwierdził.

Jak już informowaliśmy, w ubiegły wtorek znaleziono ciała rolnika Hermanna Danner, jego żony Teresy, córki Barbary Spangler oraz jej dzieci – Marianny i Józefa, a także Marii Meiler, zatrudnionej u Dannerów w charakterze służącej.

Sekcja zwłok wykazała, że wszyscy oni zmarli w wyniku silnych ciosów zadanych w głowę ostrą siekierą, pozostawioną na miejscu zbrodni przez sprawcę bądź sprawców.

Zdaniem policji, rodzaj zadanych ran wskazuje jednoznacznie na użycie wyżej wzmiankowanego narzędzia zbrodni. Urzędnicy policyjni, którzy zostali przydzieleni do prowadzenia śledztwa na miejscu przestępstwa, są wstrząśnięci wyjątkową brutalnością, z jaką zadano ofiarom śmiertelne ciosy.

Ciała małżeństwa Dannerów, ich córki Barbary oraz wnuczki Marianny zostały znalezione przez sąsiadów w stodole pod stertą słomy.

Ciała pozostałych ofiar odkryto w domu.

Rodzina żyła samotnie w leżącym na odludziu gospodarstwie. Maria Meiler rozpoczęła u nich pracę tuż przed dokonaniem zbrodni.

Zgodnie z wypowiedzią prowadzącego śledztwo organu policji, wspomniane wyżej ofiary zostały najprawdopodobniej zamordowane w nocy z 18 na 19 marca. Przypuszczenie to potwierdzają wyniki przeprowadzonej sekcji zwłok.

U zamordowanej Barbary Spangler stwierdzono ponadto na szyi ślady duszenia.

Nie wyklucza się, iż zbrodnia została dokonana na tle rabunkowym.

Według zeznań sąsiadów, żyjąca w odosobnieniu rodzina nie należała do biednych.

W domu znajdowała się ponoć spora gotówka, biżuteria i papiery wartościowe.

Rzekomo w sypialni splądrowano szafy.

Sprawcy nie zostawili po sobie żadnych śladów.

Maria Licht, lat 63, księża gospodyni

Jeśli o mnie chodzi, to jestem pewna, że to sprawka diabła. Tak, sam Antychryst nasłał tego bandytę z piekła rodem.

Ksiądz proboszcz nie chce mi wierzyć. Powiada, że nie wolno mówić takich bezbożności. Ale to prawda. Trzeba przyznać, że to święta prawda.

Od trzydziestu lat jestem gospodynią na plebanii. Od trzydziestu lat prowadzę dom jego wielbności. Pracowałam już u naszego starego proboszcza, księdza Raucha. Jemu też prowadziłam dom. Obaj byli zawsze ze mnie zadowoleni.

Może mi pani wierzyć, że niejedno już w życiu widziałam. I dlatego mówię pani, że tego bandytę nasłał im sam Lucyfer we własnej osobie. To prawda, nawet jeśli jego wielbność nie chce nic o tym słyszeć.

Osobiście go widziałam, tego diabła, wysłanego przez księcia piekieł.

Byłam wtedy u siostry, która mieszka w Schamau. Do Schamau trzeba iść koło gospodarstwa Dannerów.

I właśnie wtedy go zobaczyłam. Stał na skraju lasu i patrzył na stojący samotnie dom Dannerów. Był cały czarny. Na głowie miał kapelusz z piórami. Powiadam pani, że tak jak on, może wyglądać tylko sam diabeł. Stał tam, a jak się obróciłam, to nagle zniknął. Jakby go pochłonęła ziemia. I nie ma się co dziwić, po tym wszystkim, co się tam wyprawiało.

Żeby takie bezceństwa wyprawiał ojciec z córką. Wszystko tam było postawione na głowie.

I ta hołota, którą zawsze najmowali do pracy w gospodarstwie. Wcale nie trzeba się dziwić, że przyszedł w końcu sam Belzebub i zabrał ich wszystkich do piekła.

Mieli tam u siebie rozmaitych włóczęgów, przestępców, oprychów i najróżniejszą hołotę. Wszystko to były łotry spod ciemnej gwiazdy.

Przecież „wytworny jaśnie pan zięć” Dannera też nagle przepadł bez wieści. Ponoć ów

„jaśnie pan” obraca się teraz gdzieś w Ameryce.

Uśmieć się można! Na pewno poszedł do legionów<sup>4</sup>. Tam jest miejsce dla wszystkich <sup>4</sup> chodzi o Legię Cudzoziemską – przyp. tłum.

tych paniczyków.

Stary spłacił zięcia. Tak się mówi we wsi. Zięciuń dostał pieniądze i poszedł sobie do Francuzów.

Z pewnością wstąpił do legionów, łotryk jeden. Jak wszystkie te łotry. Jeśli go jeszcze diabli nie wzięli, to pewnie wnet przyjdzie po niego sam ksiązę piekieł.

Barbara przyszła z listem do księdza.

Z listem od Francuzów. Nie, listu nie widziałam.

Ale chciała rozmawiać z księdzem proboszczem. Potem dała mu w podzięce datek na kościół.

Widziałam leżącą kopertę. Widziałam ją na własne oczy.

Na pewno chciała sobie kupić odpuszczenie grzechów. Gryzło ją złe sumienie. To, co w życiu nawyprawiała, ciążyło jej jak kamień. Ale było już za późno. Przyszedł po nią sam diabeł.

Zawsze była „chodzącą dumą”. Zresztą jak jej ojciec.

Nie chcieli z nikim gadać, kto im nie dorównywał. Zawsze mnie dziwiło, gdy zjawiali się w niedzielę w kościele, że wszyscy święci jeszcze nie odwrócili się od nich.

Jej mały chłopczyk. To też było dziecko jej ojca. O tym przecież wie cała wieś. Hauer, ten dureń, dał sobie za to zapłacić, żeby go zapisali jako ojca dziecka.

Ale nie, czegoś takiego nie można głośno powiedzieć.

Wielebny proboszcz chętnie zamyka oczy i uszy na takie rzeczy. Udaje głuchego i ślepego.

Tacy już są ci wielebni ojcowie. Zawsze wierzą w dobroć ludzi. Nie zauważają, że otacza ich takie kurewstwo, że już gorzej być nie może.

A stary Danner ma na sumieniu wszystkie grzechy śmiertelne. Podobnie jak oni wszyscy.

Szachrował zaraz po wojnie i jeszcze przed jej wybuchem.

Przedtem był stuprocentowym nazistą. A potem nagle zaczął trzymać z Amerykanami.

Zadawał się z każdym, jeśli tylko mógł na tym skorzystać.

Nie chciałabym wiedzieć, co on tam ma na sumieniu. Nie mogłabym spać, gdybym o wszystkim wiedziała.

A po jego zięcia to przyszli nawet żandarmi. Coś tam nabroił i musiał uciekać. W przeciwnym razie nie musiałby przecież „rozpłynąć się w sonej dali”.

Mówiłam już i zawsze będę powtarzać, że całą tę bandę zabrał do piekła sam diabeł.



Tamtej nocy, z piątku na sobotę, rozpętała się straszna burza.

Piątek to dobry dzień dla piekielnych mocy i dla złych ludzi. Niejeden już przepadł w piątek bez wieści. A ci na dodatek poszli do diabła w takim domu, w którym już się ktoś wcześniej powiesił.

To w takie miejsca właśnie powracają biedne dusze, by wyrównać swoje krzywdy.

Matka mi o tym opowiadała. Słyszałam takie historie od mojej matki. Ktoś przyszedł do starego po swoje zadośćuczynienie. I klnę się na Najświętszą Panienkę, Maryję Dziewicę, że jest tak, jak mówię.

Jego wielbność ksiądz proboszcz Meißner, lat 63

W gminie tej służę jako proboszcz od końca wojny. To już będzie niemal dziesięć lat.

Ale o ile wiem, nie dokonano tu jeszcze nigdy żadnego morderstwa.

Dużo rodzin w parafii jest z sobą śmiertelnie skłóconych i bardzo poróżnionych.

Niektórzy do tego stopnia, że nie ważą się opuszczać domów po zapadnięciu zmroku. Życie gminy jako wspólnoty przestało w zasadzie istnieć. Jeden nie ufa drugiemu. To prawdziwa tragedia.

A przecież wydawało się, że złe czasy już definitywnie minęły, że życie powoli wraca na właściwe tory. W międzyczasie wszyscy z naszej wsi powrócili z wojny do domu. Życie znowu zaczęło się normalizować. I tak nieoczekiwanie to morderstwo. Nagle znów pojawił

się strach. Wszystko stanęło pod znakiem zapytania. Widzimy, jak złudna okazała się wiara w normalny dzień powszedni. Ale zostawmy te rozważania.

Chce się pani zapewne dowiedzieć ode mnie czegoś o rodzinie Dannerów. Taak, rodzina Dannerów. Jacy właściwie byli ci Dannerowie? Cóż, sądzę, że stara pani Dannerowa była dobrą chrześcijanką. Prosta kobieta, ale głęboko wierząca. Często szukała pociechy w modlitwie i ją tam znajdowała. Była bardzo zamknięta w sobie. A w ostatnich czasach zamknęła się jeszcze bardziej. Sądzę, że była już u kresu swej ziemskiej drogi i przygotowywała się duchowo do życia wiecznego. Do życia po śmierci. O ile mogę to ocenić, bardzo kochała swoje wnuki i była im bardzo oddana.

Jej mąż był patriarchą zarówno w dobrym, jak i w złym znaczeniu tego pojęcia. Jego słowo stanowiło w rodzinie prawo. Nikomu nie wolno było się sprzeciwiać. Nikomu. Nikt nie mógł sprzeciwiać się jego woli. Z pewnością na swój własny sposób był człowiekiem wierzącym. Był, powiedziałbym, człowiekiem w stylu Starego Testamentu. Ostry i wymagający zarówno wobec siebie, jak swoich bliskich.

Jego córka, Barbara. Długo sądziłem, że cierpiała pod silnymi rządami ojca. Ale dziś już nie jestem tego taki pewny. Barbara pozostawała pod jego ogromnym wpływem. Sądzę, że łączyła ich miłość spleciona z nienawiścią.

Z jednej strony wydaje mi się, że podziwiała ojca. Była w swoim szorstkim sposobie bycia bardzo

do niego podobna.

Z drugiej jednak strony nie mogę się oprzeć wrażeniu, że go nienawidziła, że czuła do niego wstręt. Prawdziwe obrzydzenie.

Nigdy się przede mną nie otworzyła, chociaż wielokrotnie próbowałem skłonić ją do tego. Ale gdyby pani widziała sposób, w jaki czasami patrzyła na ojca, gdy sądziła, że nikt jej nie obserwuje. To spojrzenie było dla mnie, sługi bożego, czymś zupełnie obcym. W jej oczach było tyle nienawiści. Nie, nie miłości – nienawiści.

Ksiądz w swojej pracy styka się ze wszystkimi aspektami ludzkiego życia. I może mi pani wierzyć, że niejedno dane mi było oglądać i przeżyć. Ale ostatnio, zwłaszcza ostatnio, widziałem w oczach Barbary coraz częściej nienawiść i obrzydzenie.

Jej córka, mała Marianna, była marzycielką. Małą marzycielką. Uczyłem ją w szkole religii. Była bardzo cicha i rozmarzona. Ładna dziewczynka z blond warkoczami. To nie do zniesienia, że ona również wpadła w ręce mordercy, że stała się jego ofiarą. Ona i mały Józef.

Dlaczego, pytam się, dlaczego dwójka niewinnych dzieci padła ofiarą tak karygodnego, zbrodniczego czynu.

Boskie młyny mielą wolno. Dlatego głęboko wierzę w to, że czyn ten nie pozostanie bezkarny. Jeśli zbrodniarz – czy też zbrodniarze – nie zostanie osądzony tu i teraz, to i tak nie uniknie – czy też nie unikną – zasłużonej kary.

Jestem święcie przekonany, że nie zrobił tego nikt z miejscowych. Żaden z moich parafian nie mógł dopuścić się tak strasznej zbrodni. Tak diabelskiego czynu nie mógł

dokonać żaden ucziwy chrześcijanin.

Co się stało z mężem Barbary? Czy ma pani na myśli Wincentego?

Chodzą słuchy, że wyemigrował do Ameryki. W każdym razie faktem jest, że go tu nie ma. Pewnego dnia zniknął i już się więcej nie pojawił. Wincenty był jednym z tych, którzy utracili swoje korzenie. Jednym z tych, co tygodniami, ba! miesiącami, po zakończeniu wojny błakali się, szukając swej nowej ojczyzny. W tym poszukiwaniu miejsca do życia i do przeżycia przywędrowali do nas.

Wincenty znalazł pracę w gospodarstwie rodziny Dannerów. Barbara poślubiła go dopiero, gdy zaszła w ciążę.

Jako ksiądz nie mogę pochwalać czegoś takiego, jednakże tuż po przegranej wojnie takie pojęcia jak moralność i ład bardzo straciły na swym dawnym znaczeniu. Po zakończeniu tego potwornego piekła ludzie cierpieli nie tylko głód i nędzę. Byli spragnieni również cielesnej bliskości.

Ślub Barbary był jednym z pierwszych, jakich udzieliłem w moim nowym probostwie.

Dlaczego związek ten nie przetrwał? Niekiedy w burzliwych czasach ludzie łączą się w takie

związki, jakie w normalnych warunkach nigdy by im nie przyszły do głowy. Wiele z nich trwa nierozdzielnie, mimo przeciwności losu. Inne rozpadają się, jak ten Barbary.

Wincenty Spangler nie był rolnikiem i nie mógł się odnaleźć w nowych warunkach panujących w gospodarstwie. Na wszystkim zaważyły głównie bardzo trudne stosunki z teściem. Nie mógł sobie z tym wszystkim poradzić, więc odszedł.

Dwa lata temu Barbara ponownie zaszła w ciążę. Jako ojca małego Józefa wpisałem w metryce chrztu Georga Hauera. Nie chciałem o to kruszyć kopii.

Na tydzień przed swą straszną śmiercią Barbara przysłała do mnie, na plebanię. Tak, Barbara. Powiedziała, że chce się wyświadczyć. Ale chwilę potem zmieniła nagle zdanie.

Sprawiała wrażenie niespokojnej, zdenerwowanej. Coś ciążyło jej na sumieniu. Próbowałem pomóc jakoś ulżyć jej duszy.

Moje usiłowania spowodowały u niej zmianę nastroju. Nagle stała się harda, niemal wroga. Oświadczyła, że nie ma się z czego spowiadać. Nie musi prosić o wybaczenie, nie zrobiła przecież niczego złego. Obróciła się na pięcie, chcąc odejść. Zatrzymałem ją. Wtedy położyła na stole kopertę, mówiąc przy tym, że to dla mnie. Na kościół albo dla potrzebujących.

– Niech ksiądz zrobi z tym, co zechce, co ksiądz uważa za stosowne. Mnie jest wszystko jedno.

Wyszła pośpiesznie, bez słowa.

W kopercie znalazłem 500 marek. Leżą jeszcze dziś na moim biurku.

Pot wystąpił na czoło Barbary. Pociła się mimo zimna, mimo lodowatego, wiejącego w twarz wiatru. Szybkim krokiem zbliżała się do swego gospodarstwa. Do swojej ziemi. Ojciec przepisał wszystko na nią. Jest panią samej siebie. Wreszcie jest swoją własną panią.

Była u proboszcza. Z ociąganiem weszła do jego biura. Szukała pretekstu. Chciała z nim pomówić. Chciała ulżyć swemu sumieniu.

Ale gdy tak stała przed księdzem, żadne słowa nie chciały jej przejść przez usta.

Zdania, które sobie tak starannie ułożyła, utkwily jej w gardle. Stała przed nim jak uczennica.

A on siedział rozparty za biurkiem.

Co ją do niego sprowadza? Czy coś jej ciąży na duszy?

Uśmiechał się przy tym. Ten wszystko wiedzący uśmiech samozadowolenia.

Jego wezwanie do ulżenia sumieniu w połączeniu z tym uśmiechem i spojrzeniem wystarczyły. Zamilkła, zamykając się w sobie.

Dlaczego ma to zrobić?!

Czy ten człowiek ma się stać jej sędzią? Czy ma osądzać jej czyny? Jej życie? Nie, nie chciała z nim rozmawiać. Nie chciała rozgrzeszenia z rąk tego człowieka. Jakiego rozgrzeszenia? Za co?

Nie zrobiła przecież niczego złego. To jej ciągle wyrządzano krzywdę. Od dwunastego roku życia czyniono jej nieustającą krzywdę.

Przez długie lata walczyła z poczuciem grzechu. Robiła zawsze to, co jej kazano.

W szkole uczono ją, że Ewa dała Adamowi jabłko. Przez to jabłko oboje popełnili grzech pierworodny, z powodu którego wygnano ich z raju.

Ona nie wygnała nikogo z raju. Nie, to ją stamtąd wyrzucono.

Jeszcze dziś widzi przed sobą ojca. Tego ojca, którego tak kochała. Czuje dotyk jego rąk na swoim ciele. Czuje te obmacujące ją szorstkie dłonie.

Leżała sztywno. Niezdolna się poruszać. Zastygła w bezruchu, nie ważąc się nawet oddychać.

Mocno zacisnęła oczy. Położył ją na łóżku. Nie chciała wierzyć w to, co z nią robi.

Oddech ojca na jej twarzy. Jego postękiwanie tuż nad uchem. Zapach jego potu.

Ból wypełniający ciało. Trzymała oczy zamknięte. Dopóki niczego nie widziała, nic się nie wydarzyło.

– Dzieje się tylko to, co się widzi – myślała.

Następnego ranka ojciec był taki jak zawsze. Przez całe tygodnie nic się nie działo.

Niemal już zapomniała o całym zdarzeniu. Zapomniała o zapachu ojca. Wypchnęła z pamięci zapach jego potu, jego jęki, jego żądze. Wszystko otoczyła gęsta mgła zapomnienia.

Zawsze chciała być „dobrą córką”. Chciała być jedynie „dobrą córką”. Czcic ojca swego i matkę swoją. Tak jak tego wymagał od niej ksiądz na lekcjach religii. Wszystko, co robił ojciec, było słuszne. Był osią jej życia. Był przecież „Panem Bogiem” w gospodarstwie.

Nigdy nie widziała, by ktoś mu się sprzeciwiał, by mu zaprzeczał. Matka nigdy tego nie robiła. A zatem ona też nie mogła tego zrobić. Z czasem odstępy pomiędzy jego nocnymi wizytami stawały się coraz krótsze. Coraz częściej wślizgiwał się nocą do jej łóżka.

Wydawało się, że matka niczego nie zauważała. Pozostawała głucha na wszystko. O

ile Barbara sobie przypomina, matka zawsze była głucha na wszystko. Nikt niczego nie zauważał.

Barbara nabrała z czasem wrażenia, że to właśnie zachowanie ojca, a nie jej, jest słuszne. Ojciec

przecież ją kochał. Tylko ją.

Chciała być mu za to wdzięczna. Chciała być dobrą córką.

Taką jak te z opowieści o Locie i jego córkach. Lot uciekł z Sodomy razem ze swymi córkami i zamieszkał na pustyni. Tam posiadał swoje córki i one urodziły mu dzieci.

Tak było przecież napisane w Biblii. Dlaczego więc – Barbara pytała samą siebie –

coś, co się podobało Bogu u Lota, miało być grzeszne u niej. Oddając się ojcu, udawała, że jest dobrą córką.

Urodziła ojcu dwoje dzieci. Dwa razy dała się przekonać, żeby przypisać ojcostwo innemu mężczyźnie. Pierwszy z nich, Wincenty, pojawił się tuż po wojnie w ich gospodarstwie. Był uciekinierem ze wschodu. Cieszył się, że znalazł u nich pracę i dach nad głową.

Uwiedzenie tego mężczyzny przyszło jej bez większego trudu. A kiedy powiedziała mu, że zaszła w ciążę, od razu gotów był ją poślubić. Widział gospodarstwo i pieniądze.

Gdy mąż krótko po ślubie, jeszcze przed urodzeniem Marianny, dowiedział się, kto jest prawdziwym ojcem dziecka, zagroził, że wszystkich ich wsadzi do więzienia. Wtedy Danner dał mu mnóstwo pieniędzy. Powiedział, że z takimi pieniędzmi Wincenty mógłby urządzić się w mieście albo nawet wyemigrować.

No i Wincenty się zgodził. Pozwolił się kupić i opuścić Tannöd przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Gdzież on teraz może być? Nie wie. Zresztą nic ją to nie obchodzi. Ważne, że ojciec załatwił

jej ojca dla dziecka.

Życie potoczyło się dalej swoim rytmem.

Ponownie zaszła w ciążę. A że tym razem nie było pod ręką żadnego mężczyzny, któremu w oczach wszystkich można by przypisać dziecko, ojciec wpadł na pomysł

uwiedzenia Hauera.

Hauer tyle co owdowiał. Uwiedzenie i tego mężczyzny było dla Barbary dziecinnie łatwe. Stary dureń natychmiast złapał się na jej bajeczkę. Barbara uśmieła się po pachy.

Mężczyzn tak łatwo jest oszukać.

Sprawa się skomplikowała, gdy Hauer zaczął nalegać na ślub. Chciał, by odnalazła Wincentego i wniosła o rozwód. Albo jeszcze lepiej, żeby natychmiast ogłosić go zmarłym.

To da się zrobić, mówił, gdyż zna „właściwych” ludzi, dla których załatwienie czegoś takiego to

pestka.

Robiła coraz większe uniki. W końcu doszło do zerwania.

Jednak Hauer nie dał się tak szybko zbyć. Całymi nocami wystawał pod oknem jej pokoju. Pukał i żebrał, żeby go wpuścić.

Czatował na nią, naprzykrzał się jej nieustannie i ciągle próbował odnowić ich związek.

Barbara czuła wstręt do tego mężczyzny. Tak jak zawsze czuła wstręt do ojca. Im był starszy, tym mniej chciała być dobrą córką. Jej obrzydzenie do ojca i do wszystkich mężczyzn razem wziętych ciągle przybierało na sile.

Wszyscy byli tacy sami w swej żądzy, w swym obrzydliwym pożądaniu.

Z każdym rokiem uczyła się, jak coraz bardziej uzależniać od siebie ojca.

Rozkoszowała się jego żebraniem o każdą noc. Uwielbiała, jak padał przed nią na kolana.

Miała go w ręku. Teraz relacja między nimi uległa zmianie. Teraz to ona pociągała za sznurki. Ona dyktowała warunki.

Musi zapłacić za swoją zabronioną, niezgodną z naturą żądzę. Zapłaci gospodarstwem.

Przepisał więc na nią gospodarstwo na jej warunkach. Podyktowała mu treść zapisu. Teraz więc jest całkowicie zdany na jej łaskę.

Chciała datkiem kupić sobie odpuszczenie grzechów. Chciała być wolna. Również wolna od grzechu, do którego ją zmuszono wbrew jej woli.

Czas wolno płynie. W ślimaczym tempie mijają minuty przemieniające się w godziny.

Mich jeszcze siedzi na czatach. W domu ciągle panuje ruch. Bez przerwy coś się dzieje.

Czeka na moment, w którym będzie mógł wkroczyć do akcji. Raz jeszcze przebiega w myślach cały plan. Chce odczekać, aż dom się wyciszy. Potem wślizgnie się do obory.

Stara sztuczka z czerwonym kurem. Ma już na sumieniu kilka podpaleń. To najprostszy i najpewniejszy sposób.

Mieszkańcy domu leżą już w łóżkach. Zaraz podpali oborę.

Na zawołanie: „Ogień, ogień!”, wszyscy, z Dannerem na czele, wyskoczą przerażeni, wyrwani ze snu. Zaspani wybiegną z domu i pognają do stodoły, by ratować co się da.

Gdy wybuchnie panika, będzie miał wystarczająco dużo czasu, żeby wślizgnąć się do domu. Wszyscy będą zajęci ratowaniem bydła z płomieni. W tym zamieszaniu zabierze schowane w domu pieniądze.

Dannerowie będą skupiać się wyłącznie na gaszeniu ognia i wołaniu sąsiadów.

Potem już nikt nie będzie w stanie powiedzieć, kto pierwszy zauważył pożar.

Płomienie strawią pozostawione przez niego ślady. Nim ogień zostanie ugaszony, nie będzie po nim nawet śladu. Dawno zniknie w lesie.

Mich opuszcza swą kryjówkę na poddaszu. Nadszedł właściwy moment. W domu od jakiegoś czasu panuje cisza. Ostrożnie schodzi z poddasza stodoły. Jeszcze trochę i postawi stopę na klepisku. Nagle zamiera. Słyszy swoje bijące serce i własny oddech.

Pod nim coś zaszeleściło. Jak błyskawica dociera do niego fakt, że ktoś jest w stodole.

Dlaczego nie zauważył, że ktoś tu wszedł? Jak mógł popełnić taki błąd? Ale teraz nie ma sensu o tym myśleć. Ten ktoś musiał opuścić dom, zanim Mich zaczął działać.

Do stodoły wchodzi druga osoba. Mich słyszy kobiecy głos. Zna ten głos. Należy do Barbary.

Głos mężczyzny jest mu nieznany. Mich jest całkowicie pewien, że nie należy do starego Danner. O czym oni mówią? Słyszy co prawda głosy, ale nie jest w stanie zrozumieć słów.

Cicho wraca na górę. Kładzie się na podłodze. Przez szpary w deskach patrzy w dół.

Wymiana słów przeradza się w kłótnię. Głosy przybierają na sile. Kobiecy krzyk brzmi ostro, histerycznie. Mężczyzna łapie Barbarę za szyję. Zaciska ręce na jej gardle. Dusi ją. Wszystko odbywa się w błyskawicznym tempie.

Mich na moment odwraca głowę. Sprawdza, czy z innej szpary lepiej będzie mógł widzieć rozgrywającą się pod nim scenę.

Gdy oboje pojawiają się ponownie w polu widzenia Micha, mężczyzna trzyma siekierę nad głową. Uderza nią Barbarę, która pada bezgłośnie na ziemię. Kobieta leży nieruchomo na podłodze. Napastnik uderza dalej jak oszalały. Wbija siekierę w bezbronne, leżące na podłodze ciało. Zadaje ciosy raz po raz, jak w transie. Wreszcie, po dobrej chwili, przestaje.

Mich leży na poddaszu, nie ważąc się ruszać ani oddychać.

– Zabił ją! Zabił Barbarę! – przechodzi mu przez myśl. – Ukatrupił ją jak parszywego kota!

Nieznajomy pochyła się nad zmasakrowanymi zwłokami. Podnosi je. Próbuje przenieść nieruchome ciało przez drzwi prowadzące do obory. Ukryć je w ciemności.

Nagle rozlegają się kroki. Słysząc głos. W drzwiach staje stara Dannerowa. Mich wstrzymuje oddech.

– Barbara? Jesteś tam? Gdzie jesteś?

Lecz oto również stara pada pod ciosem, zanim jeszcze zdołała przekroczyć próg stodoły.

Mich obraca się na plecy. Nie potrafi pojąć tego, co się rozegrało na jego oczach.

– Jak tylko mnie zobaczy, zabije mnie ani chybi. Zabije mnie jak nic. – Łzy płyną mu po policzkach. Opanowuje go śmiertelny strach. Dłońmi zakrywa twarz. Przyciska je mocno do twarzy. Próbuje kontrolować chrapliwy, urywany oddech. Leży z zamkniętymi oczami, niezdolny wykonać żadnego ruchu. Ale grasujący pod nim szaleniec nie ustaje. Zaślepiiony w swym szale uderza wciąż na nowo. Wciąż i wciąż.

Mich nie wie, jak długo tu leży. Widzi, jak pod nim wszyscy po kolei, jeden po drugim, wpadają w ręce opętanego żądzą mordu rzeźnika. Najpierw Barbara. Potem Danner.

Po nim jego wnuczka. Wszyscy wkraczają ze światła w ciemność, zanim jeszcze zdążą zauważyć grożące im niebezpieczeństwo. Wchodzą do stodoły nieświadomi niczego. Zanim spostrzegą, co im grozi, leżą martwi.

A morderca szaleje dalej. Nie pozostawia w spokoju swoich leżących nieruchomo na podłodze ofiar. Uderza w szale raz po raz, masakrując bezwładne ciała.

Leżąc na plecach, Mich nie musi przynajmniej patrzeć na rozgrywającą się pod nim jatkę. Nic nie widzi. Za to wszystko słyszy. Słyszy kroki ofiar, ich nawoływania członków rodziny. Słyszy wołanie matki. Słyszy następujące po sobie uderzenia siekierą. Kolejne, tępe uderzenia. Jedno po drugim. Raz po raz.

Wreszcie, po całych wiekach, zapada cisza. Martwa cisza.

Mija wieczność, nim Mich uświadamia sobie tę złowrogą ciszę. Obraca się wolniutko na brzuch. Niemal bezgłośnie czołga się w kierunku schodów.

Stodoła pod nim jest pusta. Sprawca musiał pójść do obory i stamtąd przejść do domu.

To dla Micha jedyna szansa ucieczki. Niepowtarzalna szansa ujścia z życiem z tej potwornej jatki. Wciąga powietrze i szybko zbiega po schodach. Pędzi w dół na złamanie karku.

Gna bez tchu. Coraz dalej i dalej. Nogi niemalże odmawiają mu posłuszeństwa. Zimne powietrze pali płuca. Rozrywa je przy każdym oddechu. Pędzi jak oszalały. Nagle pada. Leży na gołej ziemi. Dyszy. Ogarnia go ciemność. Nie wie, gdzie się znajduje. Zupełnie stracił

orientację. Wybiegł z domu ogarnięty dziką paniką. Biegł i biegł. Byle dalej stamtąd. Byle dalej od domu, dalej od obejścia, dalej od tej potworności.

Siedzi zwrócony twarzą do okna. Pustym wzrokiem patrzy w dal. Siedzi nieruchomo we własnej sypialni. Patrzy, niczego nie widząc. Wzrok ma zwrócony nie na zewnątrz, lecz do wewnątrz.

Za plecami ma łóżko żony. Od trzech lat, od jej śmierci, łóżko jest przykryte lnianą narzutą. Wygląda jak mary. Jak niemy wyrzut przypominający o sobie dzień po dniu, noc po nocy. Dochodzi go zapach



śmierci. Słodki, rozchodzący się po całym pomieszczeniu.

Wciskający się wszędzie. Niby niewyczuwalny, a jednak wszechobecny. Jego żona jest wszechobecna w tym pokoju. Odciska na nim swoje piętno, podobnie jak jej niekończąca się choroba, jak jej powolne konanie.

Przed oczami ma obrazy minionego popołudnia. Rozmowę z Anną, swoją szwagierką.

Jasny i wyraźny, bo zaledwie sprzed dwóch godzin, wizerunek stojącej przed nim kobiety.

Przyszła do niego do obory. Powiedziała, że chce... Nie – że musi... z nim porozmawiać.

Na jej twarzy widać było niedowierzenie i smutek.

Razem podeszli do ławki stojącej za domem. Wiosną można stamtąd objąć wzrokiem cały warzywnik. Widzi się drzewa w pełnym rozkwicie. Widzi się ziemię budzącą się ponownie do życia. Kocha ten widok. Co roku cieszy się na niego.

Ale dzisiaj gałęzie drzew są gołe. Sprawiają wrażenie martwych. Jeszcze się nie obudziły z zimowego snu. Anna usiadła obok niego. Siedzieli w milczeniu. W rękach trzymała kawałek materiału. Nagle spostrzegł, co trzyma. Rozpoznał chustkę. Chustkę splamioną krwią. Swoją chustkę.

Chustkę do nosa, w którą wówczas wytarł ręce. Winę, którą obarczył swoją duszę, chciał zmyć za pomocą tej chustki. Jednak wina ciągle kleiła mu się do rąk. Jak krew.

Zamierzał wyrzucić tę chustkę. Zaraz, gdzież to ją wyrzucił? Powinien sobie przypomnieć.

Musi zachować zdrowy rozsądek. Być może, przemyka mu przez myśl, wcale jej nie wyrzucił. Może celowo ją zostawił po to, by Anna ją znalazła. Po to, by mógł się przed nią wypowiedzieć ze swojej winy. Po to, by nie pozostawać sam na sam ze swym czynem. By podzielić z kimś ciężącą mu tajemnicę.

Anna objęła go ramieniem. Zapytała jedynie:

– Dlaczego? Dlaczego?

Nie potrafił jej odpowiedzieć. Sam nie wiedział dlaczego.

Chciał porozmawiać z Barbarą. Tylko porozmawiać. Nie odważył się zapukać w jej okno. Za często pukał w to okno ostatnimi czasy. A ono pozostawało dla niego zamknięte.

Nie chciała z nim rozmawiać. Ale on był przecież od niej uzależniony. Od każdego jej słowa.

Każdego gestu.

Tak, był skazany na nią. Zależny od niej. Należał do niej duszą i ciałem. Nieskończoną ilość razy zakradał się w dzień i w nocy pod jej dom. Krążył wokół, byle tylko ją ujrzeć.

Wystawał pod jej oknem. Chciał zobaczyć, jak się rozbiera. Była przecież tak blisko. I taka nieosiągalna.

Zasłony nie były zaciągnięte. Barbara stała w oświetlonym pokoju. Patrzył na nią, wiedząc, że nigdy już nie będzie do niego należeć.

Wieczorem upił się dla dodania sobie odwagi. Nie chciał być znowu odrzucony.

Dlatego zakradł się do stodoły. Stamtąd można łatwo dostać się do domu. Wiedział, że przez stodołę wchodzi się do obory, a stamtąd drzwi prowadzą prosto do domu.

Nie może go tym razem odprawić. Odepchnąć jak łaszącego się kundla. To nie on był tu psem, tylko ten stary bydlak.

Chciał porozmawiać z Barbarą. Przekonać ją, by do niego wróciła. Nie chciał nic więcej. Jedyne z nią porozmawiać.

Barbara stanęła przed nim. Wyśmiała go i wyszydziła. Powiedziała, że powinien spojrzeć na siebie w lustrze. Tysiąc razy woli swego ojca od niego, tej śmierdzącej alkoholem szmaty. Sponiewierała go. Upokorzyła. Gdy spróbował się do niej zbliżyć, uderzyła go.

Wtedy złapał ją obiema rękami za szyję. Chwycił mocno i ścisnął. Zaciskał ręce na gardle Barbary coraz mocniej i mocniej.

Te ręce trzyma teraz przed sobą. Patrzy na nie. Ręce pełne odcisków od ciężkiej pracy.

Ręce, które pozbawiły Barbarę życia.

Ciągnie dalej opowieść. Musi opowiedzieć całą historię. Powiedzieć nie tylko o wydarzeniach tamtej nocy. Nocy morderstwa. Nie, nie tylko o tym. Musi wszystko z siebie wyrzucić. Słowa płyną z jego ust jak rwący potok. A Anna jest niosącą ratunek gałęzią, której się chwytą. Ona ma go ocalić przed pójściem na dno. Przed utonięciem. Chce się uwolnić od przymusu. Uwolnić od wszystkiego, co mu ciążyło przez te lata. Ona, Anna, ma mu udzielić rozgrzeszenia.

– Barbara była silną kobietą. Broniła się. W pewnym momencie jakoś uwolniła się z mojego uścisku.

Nie potrafi powiedzieć, dlaczego i skąd nagle pojawiła mu się w ręce siekiera. Nie pamięta, kiedy zadał pierwszy cios.

Wszystko, co ma przed oczyma, to Barbara leżąca przed nim na podłodze. Leżąca nieruchomo Barbara. Bezwładne ciało Barbary.

Chciał ją usunąć z kręgu światła. Zawlec w jakiś ciemny kąt.

W tym momencie stanęła w drzwiach stara Dannerowa.

– Nie wiedziałem, czy nie zacznie krzyczeć.

Bez zastanowienia zadał cios również jej.

Zabijał jednego po drugim.

Był jak w amoku. Jak w transie. Krew przysłoniła mu zmysły jak mgła. W szale zabijania przestał panować nad sobą. Nie był już panem swoich czynów. Nie, to nie on zabijał. Nie on. To „dzika żądza zabijania”, która go ogarnęła. To siedzący w nim demon, diabeł, pozabijał ich wszystkich. Mógł zobaczyć samego siebie. Widział, jak wszyscy giną z jego ręki. Zadając śmiertelne ciosy, nie potrafił uwierzyć, że był zdolny do czegoś takiego. Że w ogóle jakikolwiek człowiek był do czegoś takiego zdolny.

Przez oborę dostał się do domu. Nikt nie miał prawa przeżyć. Nikt. Chciał pozabijać wszystkich.

Czuł przymus zabijania. Mordował posłuszny wewnętrznemu głosowi. Był posłuszny temu głosowi, tak jak posłuszny był kiedyś głosowi Barbary. Poddał się bezgranicznej żądzy mordy, jak kiedyś poddawał się niepohamowanemu pożądaniu jej ciała. Tak, odczuwał tę samą żądzę. I znalazł to samo zaspokojenie.

Nie chciał nikogo oszczędzić. Nikogo.

Ta nowa dziewczyna w służbówce. Omal jej nie przeoczył. Czy darowałby jej życie?

On! Pan życia i śmierci, w którego się przeistoczył tej nocy. Tej jednej jedynej nocy.

Gdy szła minął, zamknął oborę i dom.

Najpierw zabrał klucz. Ten klucz, którym zamknął drzwi wejściowe. Był mu potrzebny. Chciał ponownie tam wrócić i zatrzeć wszystkie pozostawione ślady.

Nagle zaczął jasno myśleć. Tak jasno, jak jeszcze nigdy do tej pory. Zobaczył wszystko jak na dłoni. W jednym momencie uświadomił sobie, co musi zrobić.

Wróci, nakarmi i zaopatrzy bydło. Potem zatrze swoje ślady.

Uwolnił się od demona. Od prześladowającego go demona.

Wszystko powinno wskazywać na napad rabunkowy. Im więcej czasu upłynie, tym lepiej dla niego. Nikt nie będzie go podejrzewał. Przecież on niczego nie zrobił.

Jedynie mały Józef nie mógł mu wyjść z głowy. Cały czas widział go leżącego w łóżeczku, w kałuży krwi. Nie mógł się uwolnić od tego obrazu.

Dlaczego pozabijał wszystkich?

– Dlaczego ktoś morduje wszystkich? Dlaczego zabija to, co kocha? Anno, można zabić tylko to, co się naprawdę kocha.

Czy wiesz, Anno, co się dzieje w ludzkim ciele? Czy wiesz? Czy możesz odczytać czyjeś myśli? Zajrzeć komuś w serce? Całe życie żyłem przecież jak w klatce. Byłem zamknięty w klatce.

I nagle otworzył się przede mną nowy świat, nowe życie. Czy wiesz, jak to jest?

Powiem ci. To jest tak: każdy z nas idzie przez życie samotnie. W samotności przychodzi na świat i w samotności umiera. A w międzyczasie jest więźniem. Tak jak ja. Ja byłem więźniem własnego ciała, więźniem własnego pożądania.

Powiem ci jedno: Bóg nie istnieje. Nie ma Boga na tym świecie. Jest jedynie piekło.

Piekło jest w nas. W naszych głowach, w naszych sercach. Demon siedzi w każdym z nas. I każdy z nas może w każdej chwili uwolnić tego demona.

Siedzieli, milcząc.

W pewnym momencie wstał i poszedł do swego pokoju.

Z szafki nocnej wyciągnął pistolet. Broń leżała w jego ręce ciężka i chłodna.

Wszystko stanęło mu przed oczami. Siedzi nieporuszony. Nieporuszony i spokojny.

Chryste, usłysz nas,

Chryste, wysłuchaj nas!

Panie, zmiłuj się,

Chryste, zmiłuj się!

Panie, zmiłuj się nad nami,

Chryste, zmiłuj się nad nami!

Panie, wysłuchaj modlitwy mojej,

Chryste, racz usłyszeć błaganie moje!

Amen!

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)